

O

CHOTA NA OTWARCIE

STR. 4



6

OTWARTOŚĆ
W NAUCE

9

UNIwersYTET W SIECI,
W CHMURZE I NA RYNKU

14

O NOWOCZESNYM
UNIwersYTECIE
I INNYCH SPRAWACH

28

FILM ANTROPOLOGICZNY



„Idea otwartości to jednak znacznie więcej niż tylko swobodny dostęp do wyników badań. Jej zaakceptowanie oznacza przyjęcie postawy etycznej, która sprawia, że w każdym momencie gotowi jesteśmy poddać swoją pracę zewnętrznej, krytycznej i nieograniczonej ocenie”.

SZKOLNICTWO WYŻSZE

6. OTWARTOŚĆ W NAUCE

MARZEC-KWIECIEŃ 2013

Uniwersytet Warszawski

2/62

REDAGUJĄ:

Anna Korzekwa, Olga Basik, Katarzyna Łukaszewska, Katarzyna Majewska, Izabela Wolczaska

ZDJĘCIA (jeśli nie zaznaczono inaczej):

Mirosław Kaźmierczak

ADRES REDAKCJI:

Biuro Prasowe Uniwersytetu Warszawskiego
Krakowskie Przedmieście 26/28
00-927 Warszawa

tel. (+48 22) 55 20 740, 55 24 066

e-mail: pismo-uczelni@uw.edu.pl

www.pismo-uczelni.uw.edu.pl

STALE WSPÓŁPRACUJĄ:

dr Robert Gawkowski, dr Hubert Kowalski,
prof. Marcin Kula, prof. Jerzy Miziolek,
prof. Wojciech Tygielski, prof. Andrzej Udalski

WYDAWCA:

Wydawnictwa UW, Nowy Świat 4,
00-497 Warszawa

PROJEKT GRAFICZNY,

SKŁAD I ŁAMANIE:

Anna Zagrajek, Magdalena Popiel-Krawczyk
Studio Układanka

DRUK:

Drukarnia POZKAL
Nakład: 5 500 egz.

Redakcja zastrzega sobie prawo do
redagowania, dokonywania skrótów oraz
odmowy publikacji nadesłanych materiałów.
Redakcja nie odpowiada za treść reklam.

OKŁADKA:

Centrum Nauk Biologiczno-Chemicznych,
ul. Żwirki i Wigury 101, fot. M. Kaźmierczak.

WYDARZENIA

2. KALEJDOSKOP

5. NOMINACJE PROFESORSKIE

SZKOLNICTWO WYŻSZE

6. OTWARTOŚĆ W NAUCE

Aneta Pieniądz

DZIŚ I JUTRO

**9. UNIwersYTET W SIECI,
W CHMURZE I NA RYNKU?**

Jerzy Wilkin

**14. O NOWOCZESNYM UNIwersYTECIE
I INNYCH SPRAWACH**

Wojciech Tygielski

STUDIA

20. INTER-EDUKACJA

Izabela Wołczaska

22. ODŚWIEŻONY NAUCZYCIEL

Katarzyna Majewska

BADANIA

23. W SOCZEWCE

27. NAUKA MYŚLENIA

Olga Basik

28. FILM ANTROPOLOGICZNY

Sławomir Sikora

30. PODOLSKA ATHOS

Ewa Korpysz

VARIA

32. WYCINKI I WYIMKI

34. MEDYTACJE PROF. LAJKONIKA

35. ZDARZYŁO SIĘ W TYM MIESIĄCU

Robert Gawkowski

35. DOBRZE POLICZONE

Olga Basik

NA TRAKCIE

**36. DZIEŁA Z KOLEKCJI EDWARDA RACZYŃSKIEGO
W WARSZAWIE**

Agnieszka Bagińska

DZIEJE UW

**38. SALWA ARMATNIA, UPORZĄDKOWANIE
DZIEDZIŃCA UNIwersYTECKIEGO
I GABINET ZOOLOGICZNY**

Jerzy Miziołek, Hubert Kowalski

40. ELEONORA REICHER

Robert Gawkowski

42. POCZET REKTORÓW

Robert Gawkowski

44. ODESZLI



– Czy rok 1968 można potraktować jako zamknięty rozdział historii? Czy raczej jako element niekończącego się cyklu, w którym pytania o rolę debaty uniwersyteckiej, co jakiś czas powracają? – pytał prof. Marcin Pałys, rektor UW podczas uroczystości uczczenia „Marca '68”, na którą przybyli przedstawiciele społeczności akademickiej oraz osoby bezpośrednio związane z tamtymi wydarzeniami. – Studenci należą do pokolenia, dla którego oczywista jest wolność słowa, swoboda wypowiedzi, manifestowania swoich poglądów, organizowania się, słowem to, co stanowi wyróżnik liberalnej demokracji – mówi. I dodawał, że Uniwersytet to właśnie miejsce gdzie możemy

uczyć się rozmawiać o istotnych sprawach; uczyć się nie tylko mówić, ale i słuchać. – Tu możemy przekonywać, że istotą debaty jest poznanie opinii innych, lepsze i pełniejsze zrozumienie przedmiotu dyskusji – mówił.

8 marca 1968 r. protestujący studenci stanęli w obronie swoich kolegów – Adama Michnika i Henryka Szlajfera, którzy zostali usunięci z uczelni na żądanie ówczesnego ministra szkolnictwa wyższego. Powodem ich relegowania był udział w styczniowej manifestacji przeciwko zdjęciu przez cenzurę spektaklu „Dziady”, granego w Teatrze Narodowym.

WĘGRZY CODZIENNIE WALCZĄ

– Polska polityka jest bardziej złożona niż węgierska – przekonywał premier Węgier Viktor Orbán podczas spotkania o przyszłości Europy.

Viktor Orbán jest obecny w polityce od ponad 20 lat. W 2010 r. Fidesz zdobył w wyborach parlamentarnych prawie 60% głosów i stworzył koalicję z Chrześcijańsko-Demokratyczną Partią Ludową (KDNP). Na czele rządu stanął przewodniczący Fideszu – Orbán.

– Trzy lata temu Węgry znajdowały się w gorszej sytuacji gospodarczej niż Grecja – mówił premier 6 marca na UW. – Mieliśmy wysoki

deficyt budżetowy i dług publiczny. Wskaźnik aktywności zawodowej był najniższy w Europie. Węgry mieli duże roszczenia wobec państwa. Uprzywilejowaliśmy więc klasę średnią i wprowadziliśmy specjalny podatek dla rodzin.

Orbán próbował też wytłumaczyć pozycję swojego kraju we współczesnej Europie. Węgry: czarna owca czy historia sukcesu? – To, co robimy postrzegane jest jako ruch antyeuropejski. Węgry to skomplikowany naród. Nawet nie wyobrażają sobie państwo, jak trudno nimi rządzić. Oni codziennie o coś walczą – przyznał.

ALGORYTMISTRZ

Sześć rund konkursu Potyczki Algorytmiczne odbywa się w internecie. W finale 19 stycznia w BUW-ie wzięło udział 20 zawodników oraz 4 trzyosobowe drużyny.

Ten ogólnopolski, otwarty konkurs programistyczny organizuje od 2005 r. Wydział Matematyki, Informatyki i Mechaniki. Rundy zdalne trwają od 36 do 63 godzin. W czasie każdego etapu do rozwiązania jest od 1 do 4 zadań. Zawodnicy

muszą napisać program komputerowy rozwiązujący problem. Wysyłają swoje odpowiedzi.

Algorytmistrzem Roku został Jakub Pachocki, student informatyki na UW, laureat konkursów Google Code Jam, TopCoder Open Algorithm oraz członek złotej drużyny na Akademickich Mistrzostwach Świata w Programowaniu Zespołowym (ACM ICPC), które odbyły się w maju ubiegłego roku na UW.

■ Zadania z tegorocznych potyczek i z ubiegłych lat są dostępne na stronie www.potyczki.mimuw.edu.pl.

SŁOWO ZA SŁOWEM

W USA słowem roku został hashtag, we Francji twitter a w Polsce w 2012 roku największą rolę odegrał <parabank>. Znamy już zwycięzców stycznia i lutego, być może któryś z nich wygra tegoroczny plebiscyt.

O tym, które słowo lub wyrażenie zostanie okrzyknięte Słowem roku 2013 zdecydują profesorowie Jerzy Bralczyk, Andrzej Markowski oraz Walery Pisarek. Najpierw analizowane są słowa dnia, później tygodnia oraz miesiąca, które pojawiają się w ogólnopolskich dziennikach.

Styczniowym zwycięzcą są <związki partnerskie>, niefunkcjonujące w słownikach języka polskiego. – Do stycznia bieżącego roku nie zrobił (ten rzeczownik z tym przymiotnikiem połączony)

oszałamiającej kariery; nie był – w porównaniu z innymi wyrażeniami z przymiotnikiem <partnerski> – częsty, a w dodatku podstępnie podsywał się pod małżeństwo, występując w takich zdaniach, jak „Ich małżeństwo to prawdziwie partnerski związek”. I oto nagle debata polityczna nobilitowała <związek partnerski> do tego stopnia, że przymiotnik <partnerski> stał się słowem miesiąca. I jak tu nie wierzyć we wpływ polityki na język! – komentuje prof. Markowski.

W lutym wygrała <abdykacja>. Używano jej najczęściej w kontekście papieża Benedykta XVI, ale również królowej holenderskiej Beatrix, która zrzekła się tronu na rzecz swojego syna księcia Wilhelma Aleksandra. – Decyzje królów

Uchwałę w sprawie nowego nazewnictwa poparło 39 radnych. Przeciw była tylko posłanka PO Anna Nehrebecka, a siedmiu przedstawicieli PiS-u wstrzymało się od głosu.

Ostatecznie na odcinku drugiej linii metra znajdą się przystanki: „Rondo Daszyńskiego”,

„Rondo ONZ”, „Świętokrzyska”, „Nowy Świat – Uniwersytet”, „Centrum Nauki Koperni”, „Stadion Narodowy” i „Dworzec Wileński”. Budowa metra miała zakończyć się w październiku tego roku. Wiadomo jednak, że będą opóźnienia. Prawdopodobnie metro ruszy w maju 2014 roku.

UCZELNIA W OGRODZIE

Jednostki uniwersyteckie znajdują się w całej Warszawie, ale podczas Dnia Otwartego UW w jednym miejscu można poznać niemal wszystkich z nich.

– Wszyscy którzy wiedzą, że wykształcenie to najlepsza inwestycja, powinni zarezerwować sobie czas 20 kwietnia. Dzień Otwarty to kolejna okazja do zapoznania się z ofertą dydaktyczną UW, spotkania studentów i pracowników – mówi Mirosława Szewczuk-Patrykont, kierownik biura ds. rekrutacji.

Dzień otwarty to propozycja nie tylko dla maturzystów, ale też osób które myślą o podjęciu studiów magisterskich, doktoranckich czy podyplomowych. W budynku Biblioteki Uniwersyteckiej swoje prezentacje przedstawi ponad 20 jednostek. Będą wykłady oraz pokazy eksperymentów fizycznych i chemicznych.

Na scenie rozstawionej w ogrodach prezen-

tować się będą m.in. zespoły artystyczne działające na uczelni: ZPiT „Warszawianka”, Chór Akademicki, Teatr Hybrydy. Sportowcy z AZS szykują pokazy aerobiku, judo, copoeiry, karate czy krav-magi. Na zakończenie dnia odbędzie się koncert. Wystąpią uczestnicy muzycznego konkursu Stage4YOU, którzy walczą o możliwość zagrania na majowej scenie jUWenaliów.

Zapisy na studia na Uniwersytecie Warszawskim rozpoczynają się 10 czerwca. Już teraz na stronie www.irk.uw.edu.pl dostępny jest katalog wszystkich programów, aby maturzyści mieli czas na zapoznanie się z ofertą uczelni.

Kandydaci mogą wybierać spośród ponad 120 kierunków i specjalności. Po raz pierwszy będzie można zapisać się na kognitywistykę (studia I stopnia) oraz bioetykę (II stopnia). Oba kierunki będą prowadzone na Wydziale Filozofii i Socjologii.

■ Szczegółowe informacje o Dniu Otwartym znajdują się na stronie www.rekrutacja.uw.edu.pl.

PREZYDENT BRONISŁAW KOMOROWSKI NADAŁ TYTUŁ NAUKOWY PROFESORA:

prof. dr. hab. **WOJCIECHOWI DOMINIKOWI** z Wydziału Fizyki,
prof. dr. hab. **MARKOWI ZUBIKOWI** z Wydziału Prawa i Administracji,
prof. dr. hab. **DARIUSZOWI BARTOSIKOWI** i prof. dr. hab. **JACKOWI BIELECKIEMU** z Wydziału Biologii,
prof. dr. hab. **DARIUSZOWI DZIUBIE** z Wydziału Nauk Ekonomicznych,
prof. dr. hab. **LIDII KASAREŁŁO** z Wydziału Orientalistycznego.

Uroczystości odbyły się 23 stycznia i 14 lutego 2013 r.

SENAT UW NA POSIEDZENIU 20 LUTEGO 2013 R. POZYTYWNE ZAOPINIOWAŁ WNIOSEK W SPRAWIE ZATRUDNIENIA:

NA STANOWISKO PROFESORA NADZWYCZAJNEGO NA UW NA CZAS OKREŚLONY

prof. dr. hab. **MARKA DZIEKANA** i dr. hab. **IRENY KAŁUŻYŃSKIEJ** z Wydziału Orientalistycznego,
dr. hab. **ANNY GRZEŚKOWIAK-KRWAWICZ** z Wydziału „Artes Liberales”,
dr. hab. **PRZEMYSŁAWA HENSELA** i dr. hab. **TOMASZA ZALEGI** z Wydziału Zarządzania,
dr. hab. **WOJCIECHA JAKUBOWSKIEGO** z Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych,
dr. hab. **ALINY KĘPIŃSKIEJ** z Wydziału Polonistyki,
dr. hab. **JAROSŁAWA KILIASA** z Wydziału Filozofii i Socjologii,
dr. hab. **MAR’YANA SKABA** z Wydziału Lingwistyki Stosowanej,
prof. dr. hab. **STANISŁAWA OBIRKA** z Instytutu Ameryki i Europy,

NA STANOWISKO PROFESORA NADZWYCZAJNEGO NA UW NA CZAS NIEOKREŚLONY

prof. dr. hab. **MICHAŁA DADLEZA** z Wydziału Biologii,

NA PODSTAWIE MIANOWANIA NA STANOWISKO PROFESORA ZWYCZAJNEGO NA UW NA CZAS NIEOKREŚLONY

prof. dr. hab. **ZYGMUNTA LALAKA**, prof. dr. hab. **WOJCIECHA SATUŁY**
oraz prof. dr. hab. **ALEKSANDRA ŻARNECKIEGO** z Wydziału Fizyki.

NOMINACJE PROFESORSKIE

OTWARTOŚĆ W NAUCE

NIE TYLKO OPEN ACCESS

W debacie publicznej temat otwartości w nauce pojawia się ostatnio coraz częściej. Konieczność dostosowania się do wymogów prawa europejskiego wymusza na polskich prawodawcach uregulowanie kwestii otwartego dostępu do wyników badań finansowanych z pieniędzy unijnych, a w dalszej perspektywie także z szeroko rozumianych środków publicznych. Tematem tych dyskusji są przede wszystkim kwestie kosztów publikacji tekstów naukowych na tzw. wolnych licencjach albo spory o niuanse polskiego prawa autorskiego. Toczą się one wszelako ponad głowami i poza sferą zainteresowania znacznej (by nie rzec – przeważającej) części środowiska naukowego. Przypomina to nieco dyskusję o tym, czy lepsza jest demokracja z jedno- czy z dwuizbowym parlamentem w społeczeństwie, które nadal żyje pod rządami królów i w zdecydowanej większości nie wie, dlaczego w ogóle miałyby chcieć żyć w jakimkolwiek innym ustroju. Nie jest to tylko pusta metafora: przy okazji starań o stworzenie repozytorium instytucjonalnego UW dobrze widoczne było niedoinformowanie środowiska naukowego w kwestii otwartych systemów udostępniania wiedzy. Debatując nad tym, jak upowszechniać ideę Open Access (OA) w gremiach skupiających osoby zajmujące się profesjonalnie tą problematyką, spotykałam się często z opinią, że kluczowym problemem nie jest technika ani nawet przeszkody prawne, lecz bariery świadomościowe i stereotypy.

UTRWALANIE STEREOTYPU

Przyzwyczajeni do tradycyjnych form komunikacji naukowej, do modelu komercyjnego czasopisma specjalistycznego (w papierowej czy internetowej wersji), z jego systemem *peer-review*, z umowami o przeniesienie praw autorskich i płatnym dostępem, badacze z nieufnością odnoszą się do nowych dla nich rozwiązań. Nie pomagają im w przełamaniu tej nieufności systemy ewaluacji pracownika, w których jego wartość mierzy się głównie liczbą publikacji w periodykach notowanych w komercyjnych bazach typu *Web of Science*, do których młode czasopisma OA dopiero wchodzi. Mocny głos wydawców mniej lub bardziej prestiżowych tradycyjnych czasopism odgrywa niebagatelną rolę w utrwalaniu stereotypu, zgodnie z którym

czasopisma OA, a w szczególności te działające w systemie *non profit*, są z założenia merytorycznie słabsze. Rzec by można, że w potocznym wyobrażeniu to, za co odbiorca nie płaci, już z racji swej ogólnej dostępności traci na jakości.

Jako argument przeciwko publikacji wyników badań w czasopismach i repozytoriach, działających na zasadach OA, podnosi się często problem selekcji i kontroli poziomu tekstów naukowych, trafiających do sieci bez uprzedniej recenzji. Pozostawiając na marginesie fakt, że nawet niekomercyjne czasopisma OA stosują system recenzji zewnętrznych i to często surowszy niż w periodykach tradycyjnych (choćby w naukach medycznych *PLoS Medicine* albo *E-Life Sciences*), warto zastanowić się nad skutecznością samego systemu *peer-review*, który bywa u nas postrzegany jako niezawodne lekarstwo na bylejakosć czy nierzetelność badawczą. Cóż, o mankamentach systemów recenzyjnych napisano dużo, wytykając recenzentom nawet nobliwych czasopism nie tylko takie błędy, jak brak zrozumienia dla nowatorskich idei, konflikt interesów czy wręcz stronnictwo, ale nawet kradzieże cudzych pomysłów znalezionych w recenzowanych tekstach (zob. np. debata na łamach czasopisma „Nature” w 2006 r.). Nie zamierzam, rzecz jasna, kwestionować potrzeby systemu *peer-review*, dla którego przynajmniej jak na razie, nie ma znaczącej alternatywy, nie mogę się jednak oprzeć pokusie, by spojrzeć na ten problem okiem historyka. System *peer review* nie jest wszak odwieczną częścią procesu przekazywania wiedzy: powstał w początkach XX w., kiedy stać się miał narzędziem selekcji tekstów naukowych trafiających do niewielkiej wtedy liczby czasopism specjalistycznych. I nie był wcale witany z entuzjazmem. W latach trzydziestych XX wieku Einstein, którego artykuł jedno z czasopism bez uprzedzenia poddało recenzji (*notabene* recenzja była negatywna), obraził się tak bardzo, że do redakcji wystosował list protestacyjny, a sam tekst wycofał.

KTO MA SPRAWOWAĆ KONTROLĘ?

Nie o przytaczanie znanych anegdotek tu jednak chodzi, lecz o zasadnicze pytanie, czy w świecie wszechdostępnej informacji i łatwej komunikacji jedynym możliwym jest system, w którym

Dr Aneta Pieniądz
pracuje w Instytucie
Historycznym. Jest
jedną z inicjatorek
ruchu społecznego
Obywatele Nauki: www.obywatelenauki.pl.



Debata
o otwartości
w nauce
przypomina
dyskusję o tym,
czy lepsza jest
demokracja
z jedno- czy
z dwuizbowym
parlamentem
w społeczeństwie,
które nadal
żyje pod
rządami królów
i w zdecydowanej
większości nie wie,
dlaczego w ogóle
miałoby chcieć
żyć w jakimkolwiek
innym ustroju

jako naukowcy – bądź co bądź specjaliści w swoich dziedzinach – mamy polegać na opinii dwóch, góra trzech recenzentów (nawet wybitnych fachowców), decydujących o dopuszczeniu danego tekstu do druku lub publikacji w czasopiśmie internetowym? A może jednak decyzję o tym, co wartościowe, a co nie, powinniśmy podejmować sami w interakcji z innymi badaczami, działającymi w systemie *open review* lub analogicznych? Czy rzeczywistym problemem dzisiejszej komunikacji naukowej jest doskonalenie systemu recenzji, czy może należałoby skierować energię na stworzenie narzędzi, które w morzu dostępnych informacji/tekstów pozwalają precyzyjnie wyselekcjonować te dotyczące badanego przez nas problemu, a system *peer review* traktować jako narzędzie wspomagające ocenę ich jakości?

W istocie rzeczy są to pytania o to, kto ma sprawować kontrolę nad produkcją i dystrybucją wiedzy i kto może w jej tworzeniu uczestniczyć. Sprawa OA jest tylko jednym z elementów znacznie bardziej złożonego i istotnego problemu następstw procesu szybkiego zwiększania się liczby i zakresu prowadzonych badań, ułatwienia dostępu do narzędzi służących poznaniu i pojawienia się nowych, nieporównywalnie szybszych metod komunikacji naukowej. Z jednej strony mamy zatem do czynienia ze swoistą demokratyzacją procesu produkcji wiedzy, z drugiej wszelako coraz bardziej dotkliwy staje się w Polsce i nie tylko problem wykluczenia informacyjnego. Można by zapytać, jaki jest związek między otwartością w nauce a cyfrową edukacją dzieci lub jej brakiem? Otóż jest. I to znaczący. W świecie, w którym dostęp do informacji określa miejsce jednostki w społeczeństwie i decyduje o perspektywach jej rozwoju intelektualnego

i zawodowego, wszelkie działania służące znoszeniu barier utrudniających ten dostęp mają zasadnicze znaczenie dla wyrównywania szans i w konsekwencji, także budowania kulturowego kapitału. W toczącej się obecnie dyskusji wokół projektów ustaw o otwartych zasobach publicznych czy sporach o e-podręczniki, głos środowisk naukowych promujących otwartość mógłby być niezwykle istotny. Szkoda, że niemal go nie słychać.

PARTNER W DYSKUSJI

Idea otwartości to jednak znacznie więcej niż tylko swobodny dostęp do wyników badań. Jej zaakceptowanie oznacza przyjęcie postawy etycznej, która sprawia, że w każdym momencie gotowi jesteśmy poddać swoją pracę zewnętrznej, krytycznej i nieograniczonej ocenie. Wydaje się, że postawa taka jest naturalna dla każdego badacza, a więc nie ma tu miejsca na jakąś zasadniczą zmianę. Wbrew pozorom jest to jednak zmiana istotna: w tradycyjnym systemie publikacji wyników badań interakcja między odbiorcą a autorem jest ograniczona ramami wyznaczonymi przez cykl wydawniczy i możliwości dostępu do czasopism oraz innych publikatorów. W systemie otwartym reakcja jest niemal natychmiastowa – otwarte recenzje, swoboda komentowania dają także autorowi możliwości wejścia w bezpośredni kontakt z recenzentem, który staje się nie anonimowym krytykiem, lecz partnerem w dyskusji. Jednocześnie w systemie otwartej nauki wszelkie formy nierzetelności

W toczącej się dyskusji
wokół projektów
ustaw o otwartych
zasobach publicznych
czy sporach
o e-podręczniki, głos
środowisk naukowych
mógłby być niezwykle
istotny. Szkoda, że
niemal go nie słysząc

badawczej są wychwytywane znaczenie łatwiej niż w tradycyjnym systemie (wbrew opinii sceptyków, z tego właśnie powodu teksty publikowane w otwartym systemie są plagiatowane znacznie rzadziej niż te funkcjonujące w postaci drukowanej).

PODATNIK (NIE) PŁACI WIELOKROTNIE

Takie warunki wymiany naukowej stwarzają nie tylko czasopisma OA, ale także repozytoria instytucjonalne, powoływane przez uczelnie i instytucje badawcze, działające na zasadach *Green Open Access* (publikacja tekstów oryginalnych obok pre- lub postprintów). Z punktu widzenia nie tylko rachunku ekonomicznego, ale także społecznych zadań nauki, jest to system z wielu względów lepszy niż opłacanie publikacji w czasopiśmie OA, gdzie koszt udostępniania treści przerzucony zostaje często z odbiorcy na autora (płaci on za publikację). Utrzymywanie repozytoriów usuwa także, przynajmniej w części, bulwersujący problem wielokrotnego płacenia przez podatnika za ten sam produkt naszej pracy. Upowszechnienie repozytoryjnej formy publikacji wyników badań jako rozwiązania systemowego, od lat postulują organizacje działające na rzecz otwartej nauki (jak Koalicja Otwartej Edukacji), stowarzyszenia bibliotekarzy czy wreszcie część środowisk naukowych (m.in. członkowie ruchu Obywateli Nauki).

Użyteczność repozytoriów instytucjonalnych już dawno rozumiano na uniwersytetach zachodnioeuropejskich i amerykańskich, gdzie zachęca się badaczy do umieszczania w nich tekstów, uznając to za równorzędną formę publikowania dorobku. Kładzie się nacisk na zapewnienie otwartego dostępu do rozpraw doktorskich. Otwarte repozytoria prac doktorskich stanowią wizytówkę uczelni, są także traktowane jako jeden z czynników wpływających na miejsce tych szkół wyższych w tak bardzo u nas fetyszyzowanych rankingach. Dlaczego w Polsce tak słabo przyjmuje się praktyka umieszczania rozpraw doktorskich w otwartych cyfrowych repozytoriach – choćby na wymagany ustawowo czas dziesięć dni przed ich obroną, kiedy muszą być one tak czy inaczej dostępne publicznie? Czy dlatego, że nie ma możliwości technicznych, czy może dlatego, że nie zawsze jest się czym chwalić? Bo przeszkody prawne, o których zwykle mówi się w tym kontekście, nie mają zasadniczego znaczenia. Świadczy o tym chociażby przykład powstałego w tym roku akademickim Repozytorium Cyfrowego UW.

Otwartość w nauce to jednak przede wszystkim przekonanie, że nauka i jej produkt jest dobrem, a nie towarem. Dobrem, którym należy się dzielić w imię interesów społecznych ważniejszych niż doraźny zysk wąskiej grupy wtajemniczonych.

Dziękuję dr. Pawłowi
Szczęsnemu za pomoc
w przygotowaniu
niniejszego artykułu.



UNIwersytet w Sieci, w Chmurze i na Rynku

CO Z TEGO WYNIKA?

JERZY WILKIN

W 2010 r. przyjęty został pakiet ustaw regulujących szkolnictwo wyższe i finansowanie nauki w Polsce, z którym środowisko akademickie wiązało duże oczekiwania. Zmiany legislacyjne – według zapewnień władz – miały stworzyć odpowiednie ramy instytucjonalne, zapewniające racjonalne wykorzystanie środków publicznych oraz sprzyjać podniesieniu jakości nauczania i badań. Utrzymujący się od wielu lat niski poziom finansowania szkół wyższych i nauki władze tłumaczyły brakiem takich właśnie reform. Nie warto było – twierdziły – inwestować w nieefektywny system, który „na wyjściu” dawał mizerny efekt. Teraz powinniśmy więc obserwować zarówno zwiększone inwestycje, jak i pierwsze ich pozytywne efekty. Wyniki tej obserwacji nie napawają jednak optymizmem. W tym opracowaniu omówię je głównie na przykładzie problemów związanych z funkcjonowaniem polskich uniwersytetów, a zwłaszcza Uniwersytetu Warszawskiego, rozpatrywanych przede wszystkim przez pryzmat osobistych doświadczeń i obserwacji, uzupełnionych w kilku przypadkach danymi statystycznymi i uwagami innych osób.

Twierdzę, że powszechna cyfryzacja i wzrost znaczenia mechanizmów rynkowych stwarzają jakościowo nowe środowisko instytucjonalne dla funkcjonowania uczelni. Dochodzi do tego istotna zmiana struktury demograficznej kraju. Ani system szkolnictwa wyższego w Polsce, ani też uniwersytety jako najważniejszy składnik tego systemu, nie są przygotowane do tych nowych warunków.

MOJA UNIwersYTECKA PERSPEKTYWA

Z Uniwersytetem Warszawskim jestem związany przez prawie 48 lat. Najpierw przez 5 lat jako student tej uczelni, a potem przez następnych ponad 40 lat jako jej pracownik. Znam też wiele innych uniwersytetów, zarówno w Polsce, jak i w kilkunastu krajach Europy, Ameryki i Azji. Najdłużej poza UW – przez 3 lata – pracowałem na uczelniach amerykańskich. Przez kilka lat byłem zaangażowany w działalność dydaktyczną na Uniwersytecie w Białymstoku. Przeglądałem się uniwersytetowi nie tylko jako pracownik dydaktyczny i badawczy, ale także jako analityk systemu szkolnictwa wyższego i badań naukowych. Moją troską było nie tylko

realizowanie przez uniwersytet jego funkcji dydaktycznych i badawczych, ale także funkcji cywilizacyjnych. Zawsze traktowałem „dobry uniwersytet” jako wzorzec dla wielu pożądanych działań, zachowań społecznych, obywatelskich i indywidualnych. Byłem i jestem przekonany, że uniwersytet może i musi czynić świat lepszym i w dążeniu do tego celu ma wiele atutów. Uniwersytet kształtuje ludzkie umysły i buduje najważniejszy czynnik rozwoju, jakim jest kapitał ludzki. Instytucja uniwersytetu przetrwała różne epoki, systemy polityczno-gospodarcze, ideologie, mody, a nawet rewolucje. Zawsze okazywała się potrzebna, chociaż niekiedy próbowano założyć jej kaganiec. Uniwersytety są instytucjami „długiego trwania”. Przetrzymały różne, niekiedy ekstremalnie trudne czasy. Okazywały się przydatne dla różnych reżimów politycznych, systemów społecznych i gospodarczych. Uniwersytet jest jednym z najważniejszych wynalazków instytucjonalnych ludzkości.

Wspólnota profesorów i studentów zwana uniwersytetem (*universitas*) była – jak zauważył wybitny historyk Jacques Le Goff – formą organizacyjną, tworzoną podobnie jak gildie, cechy, korporacje i inne organizacje dbające o interesy swoich członków. „Pierwotnie uniwersytet oznaczał grupę ludzi tego samego pochodzenia lub wykonujących ten sam zawód. W XII wieku terminem tym zaczęto określać związek wykładowców i uczniów w ramach nauczania wyższego, które otworzyło się także na świeckich. Uniwersytety (pierwsze powstały w Bolonii, Paryżu i Oksfordzie) stały się prężnymi ośrodkami intelektualnymi¹”. Te wspólnoty okazały się nie tylko bardzo trwałe, ale też użyteczne.

Tylko potężne instytucje, o niezwykłym znaczeniu i silnym zakorzenieniu w społeczeństwie, mogą przetrwać przez stulecia. Siła i władza mają swoje różne źródła. Mogą to być: przemoc (państwo), autorytet wiary (kościół), potęga pieniądza (rynek), ale też rozum i wiedza. Uniwersytety budują swoją pozycję i trwałość na tym ostatnim źródle siły. Amerykański profesor Clark Kerr obliczył, że tylko 63 instytucje przetrwały od czasów średniowiecza, a wśród nich aż 58 to uniwersytety². Okazuje się, że potęga rozumu, to niezwykle trwałe fundament niektórych instytucji.

W ostatnich dekadach uniwersytety stały się

W lipcu 2011 r. na łamach „UW” ukazał się wywiad z profesorem pod tytułem *Dobry uniwersytet, to bogaty uniwersytet*. Pół roku później, w lutym 2012 opublikowaliśmy też artykuł profesora *Jak wzmacniać pozycję Uniwersytetu nawet w trudnych czasach*.

Oba teksty dostępne są na stronie www.pismo-uczelnia.uw.edu.pl w archiwum numerów.

Ze smutkiem
stwierdzam, że
Uniwersytet kształci
coraz więcej nieźle
przygotowanych
„szewców”:
ekonomistów,
informatyków,
filologów czy
prawników

dość powszechnymi instytucjami, co obserwujemy także w Polsce. Przed II wojną światową było w naszym kraju tylko 5 uczelni mających status uniwersytetu. W 2012 r. taki status miały 44 szkoły wyższe, w tym było 18 uniwersytetów klasycznych (plus dwa uniwersytety katolickie) i 24 uniwersytety „przymiotnikowe”. Do tej listy można dodać jeszcze kilka polskich uczelni, które co prawda nie mają w nazwie słowa „uniwersytet”, ale mogłyby je mieć, np. SGGW czy SGH, a także politechniki. W kolejce do grupy uniwersytetów stoi też kilka uczelni prywatnych. Pojawiają się uzasadnione wątpliwości, czy wiele z wyżej wymienionych uczelni zasługuje na miano uniwersytetu. Gorzej, następuje erozja „uniwersyteckości” nawet na najlepszych polskich uniwersytetach – także na UW. Uniwersytety przestają być wspólnotami profesorów i studentów. Duża część studentów zdaje egzaminy, ale nie zna swoich profesorów, a dla profesorów, coraz częściej, student to numer i rubryka w USOS-ie. Znika nawet ten moment kontaktu profesora (wykładowcy) ze studentem, jakim było wpisywanie oceny do indeksu (o ile student sam przychodził po ten wpis), bo indeksy przechodzą już do historii. Prof. Kazimierz Z. Sowa w pięknej książce: *Gdy myślę uniwersytet...* cytuje wypowiedź Jana Szczepańskiego: „Nigdy nie jest się po prostu studentem wyższej uczelni. Jest się zawsze studentem określonych profesorów”³. Czy jest tak nadal?

Erozja uniwersyteckości i wspólnotowości ma też wiele innych przyczyn. Obecnie studenci studiują na wydziałach, a nie na uniwersytecie. Uniwersytet jest federacją wydziałów, coraz bardziej zamkniętych i odizolowanych. Poza studentami kierunków międzywydziałowych, większość studentów nie uczestniczy w zajęciach prowadzonych na innych wydziałach. Jest co prawda obowiązek zaliczenia skromnej puli zajęć ogólnouniwersyteckich tzw. OGUN-ów, ale wydziały starają się zawłaszczyć i te zajęcia. Czynią to głównie dlatego, żeby zatrzymać pieniądze z dotacji dydaktycznej na wydziale i dać zajęcia swoim pracownikom. Prof. Zofia Morecka, która pracowała kiedyś na moim wydziale (była też dziekanem i prorektorem UW) mawiała: „jeśli ktoś chce się wąsko specjalizować, to powinien iść do szewca, a nie na uniwersytet”. Ze smutkiem stwierdzam, że uniwersytet kształci coraz więcej nieźle przygotowanych „szewców”: ekonomistów, informatyków, filologów czy prawników. Tacy specjaliści są też kształceni w „wyższych szkołach tego i owego”, ale zazwyczaj na niższym poziomie, bo mają gorszych wykładowców i mniej wyselekcjonowanych kandydatów. Czym więc ma wyróżniać się uniwersytet spośród innych uczelni, jeśli nie „uniwersyteckością”? Twierdzę, że polskie uni-

wersytety przestały bronić tej swojej najważniejszej, historycznie ukształtowanej cechy, która jest fundamentem ich „długiego trwania”.

Od kilku lat obserwuję spadek jakości studiowania i wyników tego studiowania. Potwierdza to też wielu innych wykładowców. Wyniki egzaminów z wykładów, jakie prowadzę na dwóch kierunkach studiów na UW, pogarszały się z roku na rok. Studenci mają bardzo niewielką wiedzę ogólną, nie potrafią dobrze formułować odpowiedzi, zwłaszcza w formie pisemnej, mają kłopoty z dokonywaniem syntez, streszczeń itp. Na egzaminie na pytania otwarte, problemowe odpowiadają w formie SMS-ów, bardzo krótko, informacyjnie, bez dbałości o styl i kontekst merytoryczny. Prowadząc wykład kursowy, bez ćwiczeń, nie mam możliwości skłonienia ich do większej aktywności i doskonalenia warsztatu studiowania. Są też coraz większe kłopoty ze słuchaniem, a zwłaszcza „twórczym słuchaniem” na wykładach. Tam gdzie grupa jest mniejsza, wprowadzam pisanie i wygłaszanie referatów. Proszę też grupę o ocenę prezentacji ich koleżanek i kolegów. Kiedyś był to ciekawy składnik zajęć, a po niektórych prezentacjach rozlegały się oklaski. Studenci wyszukiwali wartościowe materiały, przygotowywali atrakcyjne slajdy i starali się zainteresować słuchaczy danym tematem. Mobilizowali się wzajemnie. Teraz najczęściej prezentacje są „odfajkowywane”, mało interesujące i oparte prawie wyłącznie na przypadkowo wybranych źródłach internetowych. Nawet jak sugeruję skorzystanie z niektórych książek i artykułów, to jeśli tych materiałów nie ma w internecie, to zazwyczaj do nich nie docierają. Jeśli czegoś nie ma w internecie, to go nie ma w ogóle – taki jest punkt widzenia coraz większej części młodego pokolenia. Do tego dochodzą też inne problemy: plagiaty i ściąganie⁴. Student, mający na egzaminie pod ręką smartfon, może błyskawicznie skopiować dany test, wysłać go w odpowiednie miejsce i po chwili mieć odpowiedź. Egzaminator, który słabo podąża za osiągnięciami techniki, nawet nie wie o takich możliwościach, więc nie zwraca na to uwagi. Poza tym dany test jest już „spalony”, bo natychmiast trafia do sieci.

Bylejakość studiowania jest coraz częściej tolerowana, także na UW, bo działa tu silna presja rynku. Wzrasta konkurencja między wydziałami, uczelniami i między sektorami szkolnictwa wyższego – publicznym i prywatnym. Uczelnie i wydziały mają coraz więcej problemów finansowych. Dbają więc o pozyskanie i utrzymanie studentów, obniżają wymagania, tolerują nieterminowość, pojawiły się np. trzecie czy czwarte terminy egzaminacyjne, zamiast dwóch dotychczasowych itp.

UNIWERSYTET W SIECI I W CHMURZE

Sieć i chmura są w tym przypadku głównie pojęciami z zakresu informatyki i komputeryzacji, ale też w jakimś sensie także metaforami. Gdy przekraczamy bramę Uniwersytetu Warszaw-

skiego na Krakowskim Przedmieściu, ukazuje się nam bardzo piękny zbiór budynków nazywany kampusem centralnym UW. Mieści się tu kilka wydziałów, wiele sal wykładowych, tablic pamiątkowych, pomników, biura kierownictwa uczelni i szereg innych obiektów. Jest to też jedna z najpiękniejszych części Warszawy, „miejsce magiczne” tego miasta. Korzystają z niego nie tylko studenci i pracownicy uczelni, ale także pozostali mieszkańcy Warszawy.

Uniwersytet Warszawski jest niewątpliwie „perłą w koronie” naszego, stołecznego miasta – jako miejsce i jako instytucja. Jako instytucja akademicka i edukacyjna, przenosi jednak rosnącą część swojej działalności ze swoich, pięknych, niekiedy fizycznych obiektów do świata wirtualnego, zawieszonego w cyfrowej chmurze i sieciach. Jak napisano niedawno w jednym z popularnych tygodników: „Entuzjaści nie mają wątpliwości, że cyfrowa fala zmiecie zmurzałe instytucje akademickie i edukacyjne. Te nie zamierzają się jednak poddać. Świadome zmian, próbują wykorzystać zapał sieci i dołączyć do rewolucji. Inne ciągle wierzą w swą siłę, której wyrazem są przecież dyplomy, świadectwa i certyfikaty”⁵. Tworzone są internetowe szkoły i akademie, z których dużą popularność zyskała Khan Academy, udostępniane są masowe, otwarte kursy online, wirtualne uniwersytety itp. Także na UW dość szybko rośnie liczba kursów oferowanych w trybie e-learningu. Stanowią one jednak tylko uzupełnienie tradycyjnych form nauczania uniwersyteckiego.

Wiedza przenosi się do świata wirtualnego, podobnie jak i korzystanie z wiedzy. Do czego więc w takim świecie potrzebny jest uniwersytet? Na to pytanie uniwersytety, zwłaszcza polskie, będą musiały odpowiedzieć. Powiem może rzecz dla niektórych zaskakującą: powszechna cyfryzacja komplikuje proces nauczania, zwiększa zapotrzebowanie na wszechstronnie wykształconych, zaangażowanych nauczycieli akademickich, dobrze poruszających się też w świecie wirtualnym. Internet i inne osiągnięcia z zakresu cyfryzacji ułatwiają dostęp do wiedzy i informacji, ale utrudniają mądre i twórcze skorzystanie z tych zasobów. Bardzo pięknie i trafnie napisał o tym zjawisku Umberto Eco: „Ze wszystkich rodzajów oszołomień i zawrotów głowy ten, który serwuje nam internet, jest najbardziej mistyczny. Sieć jest bytem niemal totalnie wirtualnym, który oferuje nam realny katalog informacji, dzięki którym możemy poczuć się bogaci i wszechmocni. Jedyny problem polega na tym, że nie wiemy, które z jego elementów odnoszą się do danych ze świata realnego, a które nie. Znikło rozróżnienie między prawdą a fałszem”⁶.

Uniwersytet pozostanie miejscem, gdzie rozwija się nauka i tworzy nowa wiedza; pozostanie też miejscem kształcenia, gdzie studenci najpierw uczą się jak korzystać z wiedzy, jak odróżniać „ziarno od plew”, a potem jak tę wiedzę wzbogacać. Potęgą uniwersytetu zawsze

wynikała z jego wielofunkcyjności; łączenia nauczania z wychowywaniem, badaniami, kształtowaniem intelektualnych elit, zaangażowaniem obywatelskim, wysoką kulturą i wieloma innymi funkcjami. W cyfrowym świecie łatwo się zagubić i trudno zrealizować te wszystkie funkcje. Jest to więc wielkie wyzwanie cywilizacyjne dla uniwersytetów. Wcale nie będzie łatwo się w tym odnaleźć, ale wierzę że to się uda.

Studenci na egzaminach na pytania otwarte, problemowe odpowiadają w formie SMS-ów, bardzo krótko, informacyjnie, bez dbałości o styl i kontekst



DO CZEGO UNIWERSYTETOWI POTRZEBNY JEST PROFESOR?

Pytanie wydaje się zadziwiające, czy wręcz absurdalne. Przecież wiadomo, że „uniwersytet na profesorach stoi”! O jakości uniwersytetu decyduje jakość jego profesorów; ich autorytet, osiągnięcia badawcze i umiejętności dydaktyczne. Uniwersytet – w tradycyjnym ujęciu – to wspólnota profesorów i studentów. Ta wspólnota się kruszy, o czym wyżej pisałem, więc trzeba ją odbudować. Profesorowie mają też nowe zadania, wynikające z przedstawionych wcześniej zjawisk.

W numerze 5. pisma uczelni „UW” z ubiegłego roku, prof. Marcin Kula napisał, że „waga tytułu profesorskiego się obniża” i „zrobiło się nas bardzo wielu, a to musi oznaczać obniżenie pozycji”. Panie Profesorze – to mylne wrażenie! Jest nas, profesorów, mało – powiedziałbym, że zbyt mało! Gdyby użyć bliskiej mi terminologii ekonomicznej, stanowimy dobro rzadkie, a przez to cenne. Co nie znaczy, że potrafimy je odpowiednio wykorzystać, o czym piszę dalej.

Aby zilustrować moją tezę, przytoczę kilka liczb. W 2011 roku w Polsce tytuł profesorski otrzymało 601 osób. W tymże roku mieliśmy w naszym kraju ponad 1,7 mln studentów. Z informacji Głównego Urzędu Statystycznego wynika, że w wielu uniwersytetach w kraju, które

kształciły średnio po 20-30 tys. studentów, tytuł profesorski w danym roku otrzymały zaledwie 1-3 osoby. Wyobraźmy sobie: na dużym uniwersytecie w ciągu roku tytuł profesorski otrzymują zaledwie dwie osoby. Czy to dużo? Powiedziałbym – zawstydzająco mało! Uniwersytet Warszawski jako wyróżniający się polski uniwersytet, miał w 2011 roku 26 nowych, tytułarnych profesorów, mając ponad 52 tys. studentów i ponad 3 tys. pracowników naukowych. Nawet tu liczba uzyskanych tytułów profesorskich spada od 2009 roku. Niektóre duże wydziały uczelni nie miały w 2011 r. ani jednego nowego tytułu profesorskiego! Czy potrafimy odpowiednio wykorzystać

i docenić profesorów? Na pewno nie!

UW przyjął w swoim statucie, że wszyscy pracownicy naukowcy uczelni, a więc asystenci, adiunkci i profesorowie mają identyczne obciążenie dydaktyczne w wysokości 210 godzin. Ze Statutu UW wykreślono możliwość uzyskania przez profesorów obniżenia pensum dydaktycznego po przekroczeniu 60 lat. Wprowadzono dodatkowo zasadę, że decyzję o obniżeniu pensum podejmuje rektor, a nie dziekan, jak to było wcześniej. Rozumiem niektóre przesłanki tej decyzji (byłem zresztą członkiem komisji przygotowującej nowy Statut). Jest wielu profesorów uchylających się od obowiązków dydaktycznych, badawczych i organizacyjnych na UW.

Niektórzy z nich prowadzą wiele zajęć na innych uczelniach bądź prowadzą własną działalność gospodarczą. Trzeba jakoś to zjawisko ograniczyć i uporządkować. Czy jednak w odniesieniu do profesorów koncentrujących swoją aktywność dydaktyczną i badawczą na UW mamy właściwą strategię? Zilustruję to na własnym przykładzie.

Jestem niewątpliwie „człowiekiem uniwersytetu”; wiernym tej instytucji od początku mojej kariery zawodowej. Pełniłem różne funkcje uniwersyteckie: prodziekana, dziekana, kilkakrotnie członka Senatu UW, przewodniczącego komisji senackiej, etc. Od kilkunastu lat jestem kierownikiem jednej z większych katedr na moim wydziale. Przewodniczę dość „obłożonej” komisji przewodów doktorskich i uczestniczę w wielu inicjatywach środowiska akademickiego, związanych z funkcjonowaniem nauki i szkolnictwa wyższego. Od pewnego czasu przewodniczę ważnemu dla środowiska naukowego zespołowi w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego. To oczywiście nie ma żadnego znaczenia dla moich obowiązków jako profesora UW. Takiego znaczenia nie miało także to, gdy w 2004 r. zostałem członkiem korespondentem PAN, jedynym członkiem PAN na moim wydziale. Gdy przeczytałem, że są kraje gdzie członkostwo w Akademii automatycznie zwalnia profesorów w uczelni od obowiązków dydaktycznych (z czego skorzystał np. A. Einstein zostając członkiem Pruskiej Akademii Nauk i pracując na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie), pomy-

Jest wielu profesorów
uchylających się
od obowiązków
dydaktycznych,
badawczych
i organizacyjnych na
UW. Niektórzy z nich
prowadzą zajęcia na
innych uczelniach
bądź prowadzą
własną działalność
gospodarczą



ślałem, że jest w tym rozwiązaniu coś bardzo sensownego. Przecież członkom Akademii warto powierzyć nieco inne zadania niż innym pracownikom uczelni, a przynajmniej pozwolić im na większą elastyczność w doborze aktywności dydaktycznej i badawczej. Niestety, to jednak nie mieści się w formule polskiej uczelni i systemu szkolnictwa wyższego, chociaż uczelnie publiczne i PAN są finansowane z budżetu państwa. Wszystkich obowiązuje to samo zadanie: 210 godzin dydaktycznych w ciągu roku akademickiego! Są zresztą uczelnie publiczne, gdzie wymiar godzin jest większy, ale są też i takie, gdzie jest on dla profesorów znacznie mniejszy, a więc uczelnie mogą przyjąć w tej sprawie własną strategię.

Kilkanaście lat temu, gdy liczba moich magistrantów przekroczyła 250, postanowiłem nie zgłaszać nowych seminariów magisterskich (a nie było jeszcze wtedy seminariów licencjackich) i skupić się na moich doktorantach i projektach badawczych. Uznałem, że moją główną rolą jako profesora uniwersytetu, poza prowadzeniem niektórych wykładów kursowych, z czego nigdy nie zrezygnowałem, jest kształcenie kadry naukowej, kierowanie katedrą i inicjowanie projektów badawczych. Wypromowałem 18 doktorów, z których wielu uzyskiwało prestiżowe wyróżnienia i stypendia. Moi wychowankowie są już doktorami habilitowanymi i profesorami tytułarnymi. Są oni moją dumą i radością. Jest tak – jak napisał prof. M. Kula, cytując prof. Zolla – że „każdy profesor uniwersytecki jest zobowiązany wychować grono uczniów lepszych od niego”. Mam pełne przekonanie, że tak być powinno i powiem, że chyba udało mi się to osiągnąć. Jestem naprawdę dumny z moich wychowanków i cieszę się bardziej z ich sukcesów niż ze swoich własnych. Opiekowanie się stosunkowo liczną grupą młodych pracowników naukowych, to jednak bardzo absorbujące zadanie: dziesiątki godzin poświęconych konsultacjom, pisaniu opinii, recenzji i rekomendacji. Wszystko to nie ma żadnego znaczenia dla ocen akademickich, wynikających z obowiązujących ustaw. Mimo dążenia do tego, aby uczynić z UW uczelnię badawczą, nie ma też znaczenia to, czy dany profesor jest aktywny w ubieganiu się o granty i w ich realizacji. Na moim wydziale przyjęto bardzo rygorystyczną zasadę, że nie wystarczy, aby dana katedra realizowała przypadającą na nią pulę zajęć dydaktycznych (wynikającą z liczby członków przemnożoną przez standardowe pensum). Wystarczy, że jeden z członków katedry nie realizuje pełnego pensum dydaktycznego, aby odczuli to wszyscy pozostali członkowie w postaci redukcji „premi dydaktycznych”. Coś w rodzaju odpowiedzialności zbiorowej. Ten system jest na dłuższą metę nieracjonalny, bowiem, używając terminologii ekonomicznej, prowadzi do „wadliwej alokacji zasobów”.

Od kilku lat ze względu na moje zaangażowanie w działalność wydziałową, uniwersytecką

i środowiskową (m.in. ponad 10 lat członkostwa w Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów) korzystałem z ulgi w pensum dydaktycznym (50%). Prowadziłem jedynie kursowe wykłady: 2 w jednym semestrze i 3 w drugim, dla dość dużej liczby studentów (ponad 400 w ciągu roku). Wydawało mi się, że to duży wkład z mojej strony w tę sferę działalności uczelni.

Przyznam szczerze, że nie mam już ochoty na występowanie do rektora UW z prośbą o zmniejszenie mojego pensum dydaktycznego. Zapewne bym je uzyskał, ale mam tego dość! Mogę już pójść na emeryturę, chociaż nie muszę. Uważam, że i tak pracuję niekiedy ponad siły. Spójrzmy na wynagrodzenie profesorskie. Moja pensja profesorska skurczyła się, w wymiarze realnej wartości, o około 10-15% w ciągu kilku lat. Mój syn, który niedawno skończył studia informatyczne i filozoficzne, po dwóch miesiącach pracy uzyskał wyższą pensję zasadniczą niż ja jako profesor zwyczajny UW po 40 latach pracy. Mój dodatek funkcyjny za kierowanie katedrą (400 zł) nie zwiększył się od kilkunastu lat, a więc realnie zmniejszył się przynajmniej o połowę. To kuriozalna sytuacja! Do czego więc potrzebny jest uniwersytetowi profesor? To wcale nie jest trywialne pytanie. W ekonomii jest takie twierdzenie: dana rzecz (towar czy usługa) jest warta tyle, ile ktoś chce za nią zapłacić. Tak jest oczywiście na rynku, ale przecież uniwersytet nie jest podmiotem czysto rynkowym, chociaż przesuwa się w kierunku rynku i konkurencji. Uniwersytet wytwarza ważne „dobra merytoryczne”, o których pisałem, zasługujące na odpowiednie wsparcie ze środków publicznych, właśnie po to, aby nie stały się one dobrami czysto rynkowymi. Gdybym chciał, jako profesor, otrzymywać wynagrodzenie „rynkowe”, to pracowałbym w „wyższej szkole tego i owego”. Mimo wszystko wybieram uniwersytet.

Coraz większą część zajęć na uczelniach prowadzą adiunkci. Prowadzą wykłady, seminaria magisterskie i licencjackie, kierują projektami badawczymi. Profesorowie są potrzebni wydziałom i uczelni, bo dają uprawnienia akademickie i dydaktyczne; a w tym nie można zastąpić ich adiunktami. Czy tylko dlatego? Warto się nad tym zastanowić i lepiej zagospodarować to rzadkie dobro dla realizacji wielu funkcji uniwersytetu.

¹ J. Le Goff, *Długie średniowiecze*, Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2007, s. 40. ² C. Kerr, *The Uses of the University*, „Harvard University Press”, „Cambridge Mass”. 1963. ³ K. Z. Sowa, *Gdy myślę uniwersytet...*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków, s. 133. ⁴ Nawet na Uniwersytecie Harvarda, najlepszej uczelni na świecie, wybuchł niedawno skandal związany ze ściąganiem na końcowym egzaminie przygotowywanym w domu (*take-home final exam*), a więc ze zjawiskiem, które na uniwersytetach amerykańskich prawie nie istniało. Przewiduje się, że około 70 studentów zostanie z tego powodu usuniętych ze studiów („New York Times”, 1.02.2013). ⁵ Z. Pruski, *Akademia pana Khana*, „Polityka” nr 1/2013. ⁶ U. Eco, *Wyznania młodego pisarza*, Świat Książki, Warszawa 2011, s. 212.

Mój syn, który niedawno skończył studia, po dwóch miesiącach pracy uzyskał wyższą pensję zasadniczą niż ja jako profesor zwyczajny UW po 40 latach pracy

Prof. Jerzy Wilkin
pracuje na Wydziale
Nauk Ekonomicznych.

O NOWOCZESNYM UNIwersYTECIE I INNYCH SPRAWACH

WOJCIECH TYGIELSKI

„Nie daj Boże, co za ciężki los – taka służba w naukowym resorcie.
Wszystkiego się boisz.

Każdy się wtrąca, każdy chce pokazać, że jest mądry”.

[Łuka Łukicz, bohater *Rewizora* Mikołaja Gogola]

Wyjaśnijmy najpierw skąd ten Gogol? Otóż – w związku z premierą *Ożenku* w Teatrze Studio, w reżyserii Iwana Wyrypajewa – przypominam sobie tekst sztuki. W moim domowym egzemplarzu (wydanie PIW-owskie, przekład Juliana Tuwima) *Ożenek* sąsiaduje właśnie z *Rewizorem*, który to rewizor – jak pamiętamy – przybyć ma z Petersburga *incognito*, „a na domiar złego z poufną instrukcją”. Myśląc o zapowiadanej na kwiecień wizytacji PAKI (nazywanej teraz POLKĄ) na moim wydziale, czytam z uśmiechem pierwsze dialogi:

„ŁUKA ŁUKICZ

Ale po co, panie horodniczy, z jakiego powodu? Dlaczego do nas rewizor?

HORODNICZY

Dlaczego? Taki los, widać!

(westchnął)

Dotychczas, Panu Bogu najwyższemu dzięki, dobierali się do innych miast, teraz i na nas kolej przysła”.

W trakcie lektury, poza uznaniem dla autora oraz jego polskiego tłumacza (choć Gogol i Tuwim reklamy raczej nie potrzebują), pojawia

się pomysł, żeby wypowiedzieć się – najlepiej na łamach „UW” – na temat współczesnej uniwersyteckiej rzeczywistości oraz zmian tu i teraz zachodzących. Zaraz jednak przychodzi refleksja – ale właściwie po co?

Po pierwsze, co zawsze aktualne, można by w tym samym czasie, czyli w czasie ewentualnego pisania artykułu, popracować naukowo. Po drugie, ważniejsze pytanie – z jakiego to niby tytułu miałbym zabierać głos? Jest kilka możliwych odpowiedzi: że profesor, że uniwersytecki senator, że humanista z zawodu, która to profesja aktualnie nie wydaje się należycie doceniana i na wprowadzanych zmianach traci; wreszcie, że w rozmowach prywatnych słyszę podobne do moich uwagi, a także liczne utyskiwania, które jednak na forum uniwersyteckim nie są upowszechniane. Trudno ocenić, czy są to wystarczające powody.

A pojawia się także wątpliwość jeszcze poważniejsza – zawarta w pytaniu: a czy to mało ostatnio na tematy uczelniane napisano? „Gdyby ludzie więcej czytali – mniej by pisali” – ta sentencja, przypisywana Aby M. Warburgowi, historykowi sztuki i tej profesji wielkiemu mecenasowi¹, wyraża myśl, którą zaliczam do mądrych

Prof. Wojciech Tygielski jest historykiem, pracuje w Instytucie Historii Sztuki. Jest senatorem UW oraz przewodniczącym zespołu rektorskiego ds. Serii *Monumenta Universitatis Varsoviensis*.

O działalności zespołu napiszemy w kolejnym numerze „UW”.

i przenikliwych oraz coraz bardziej aktualnych – także w odniesieniu do publicznych debat wokół nauki i szkolnictwa wyższego. Urodzaj z jakim mamy tu do czynienia, czyli zintensyfikowanie wypowiedzi na interesujący nas temat, wiązać należy rzecz jasna z poważnymi zmianami, jakie aktualnie zachodzą. Zmiany te śledzi i jest nimi żywotnie zainteresowane całkiem liczne grono osób, którego jakaś część sprawnie posługuje się piórem.

Efekty systematycznie pojawiają się w mediach: a to jakiś Wybitny Przedstawiciel Nauk Ścisłych skrytykuje nowe systemy oceny efektów pracy badawczej, wykazując niewielką przydatność tzw. bibliometrii, która nie jest w stanie zagwarantować ani merytorycznej, ani obiektywnej oceny dorobku naukowego (a właśnie w tym celu ją wymyślono); a to inny Sławny Profesor zakwestionuje sens parametryzacji jednostek albo też czasopism naukowych, przy pomocy sformalizowanych kryteriów, na co minister nauki i szkolnictwa wyższego lub ktoś z jej otoczenia energicznie odpowie – broniąc nowych rozwiązań i wskazując na ich zgodność z europejskimi oraz światowymi trendami; a to znowu jakiś Dostojny Humanista wykaże całkowitą nieprzystawalność do reprezentowanej przez siebie dyscypliny powszechnej apoteozy angielszczyzny oraz innych nowatorsko-bibliometrycznych rozwiązań, które na przykład preferują artykuły kosztem książek; a to list pochwalny napisze kilkudziesięciu Zdolnych i z Reform Zadowolonych, przy czym najwyraźniej na tyle Młodych, żeby nie czuć śmieszności tego rodzaju strzelistych deklaracji, wypowiedzianych urzędowym językiem.

Mamy też krytyczne wypowiedzi tzw. „świata zewnętrznego”, a w tym wyjątkowo denerwujące uproszczenia autorstwa niektórych Wielkich Pracodawców, którzy co prawda – jak można przypuszczać – palcem nie kiwnęli, by wspierać rodzime szkolnictwo wyższe, ale za to chętnie grymaszą, że absolwenci nic konkretnego nie potrafią (dopiero w firmie trzeba ich wszystkiego uczyć), przez co skazani są na bezrobocie. Co prawda dla każdego, kto choć trochę interesuje się realiami społeczno-gospodarczymi, jest oczywiste, że to nie uczelnie odpowiadają za strukturalne kłopoty na rynku pracy, ale wyobrażenie na temat uniwersytetu jako wyższej szkoły zawodowej – tak bardzo szkodliwe – jednak w tle się pojawia i, co gorsza, przy tej okazji utrwała w społecznej świadomości.

MYŚLI, CO NIE NOWE

Tyle wstępu. Dalsze akapity wykażą, że piszący te słowa pozytywnie rozstrzygnął wspomniane przed chwilą autorskie wątpliwości. Chcę jednak podkreślić, że to, co poniżej, to nie żaden traktat ani tym bardziej manifest, a jedynie zapis kilku wybranych obserwacji oraz uwag, do których sformułowania nasze uczelniane pismo wydaje się miejscem właściwym. Uwag może nie dość uporządkowanych, ale też traktowanych jedynie

jako udział w rozmowie, która w naszym środowisku nie jest, jak mi się wydaje, intensywnie prowadzona (wszyscy jacyś tacy zabiegani). Będę się zatem starał, by – wprowadzając minimum autorskiego porządku – tych „kilka myśli, co nie nowe” oscylowało wokół tytułowego pojęcia, które ostatnio pojawia się coraz częściej, ale nie wydaje się precyzyjnie zdefiniowane².

Nowoczesny uniwersytet jest z pewnością lepszy niż nienowoczesny. Z taką tezą trudno dyskutować, nawet jeśli pamiętać będziemy, że w przypadku uniwersytetu tradycja odgrywa szczególnie ważną rolę. Wedle mojej intuicji, gra (żeby nie powiedzieć „walka”) toczy się dziś właśnie o zachowanie fundamentalnych cech wyróżniających i definiujących uniwersytet, pomimo zmieniającego się otoczenia zewnętrznego, który to proces – jak to już zostało powiedziane – przebiega ostatnio dość gwałtownie i stąd pewne spiętrzenie problemów. A zatem, żeby funkcjonować w nowoczesnym otoczeniu, zachowując zarazem podstawowy sens swego istnienia, uniwersytet musi skutecznie ochronić kilka swoich tradycyjnych cech oraz – co niestety musi się odbywać jednocześnie – zadbać, już po nowemu, o sprawne funkcjonowanie w najważniejszych sferach swojej aktywności. Ale po kolei.

SŁAWA AKADEMII BĘDZIE TWOJĄ CHWAŁĄ

Zacznę od identyfikacji z uczelnią. W dawnych czasach nie było z tym raczej kłopotów. Elitarny charakter, wspólnota zainteresowań, autonomiczność i kameralność oraz osobiste relacje pomiędzy wykładowcami i słuchaczami ułatwiały integrację uczelnianych struktur oraz gwarantowały wspólnotę tożsamości. „Przestrzegam cię raz jeszcze, abyś ustawicznie pamiętał kim jesteś i na jakim stanowisku pozostajesz. Szukaj nie pożytku dla siebie, których żaden mędrzec w sposób roztropny nie pożąda lecz chwały Akademii, która jest twoją. Wiedz bowiem, że osiągnięta dzięki tobie sława Akademii będzie twoją chwałą” – pisał Sebastian Petrycy z Pilzna, lekarz, tłumacz, ale także wykładowca historii oraz retoryki, do swego ucznia i przyjaciela, Tomasza Swinarskiego, który właśnie otrzymał nominację na profesora Akademii Krakowskiej³.

Od czasów Petrycego, czyli od przełomu XVI wieku, zaszły fundamentalne zmiany nie tyle w strukturach samego uniwersytetu (choć także), ile w jego zewnętrznym otoczeniu. Najkrócej rzecz ujmując: państwo stało się głównym mecenasem, a zatem i zwierzchnikiem uczelni, zaś studia – drogą do zdobycia kwalifikacji, gwarantujących pośrednio relatywnie wysoką pozycję społeczną. Ta perspektywa przyciągać zaczęła coraz liczniejszych chętnych, czyniąc współczesne studia zjawiskiem masowym, zresztą po obu stronach katedry. Miało to ogromne konsekwencje w zakresie dydaktyki i organizacji studiów, o czym za chwilę, ale także w sferze relacji poszczególnych przedstawicieli grona nauczającego z zatrudniającą ich, a nie

Tekst ten dedykuję tegorocznemu Jubilatowi, prof. Marcinowi Kuli, którego nieobecność na łamach poprzedniego numeru odnotowałem ze smutkiem. Jeśliby owa nieobecność miała się przedłużyć (a znowu nie widzę tekstu Marcina w spisie treści tej edycji), byłoby to z oczywistą stratą dla naszego pisma.

Wyjątkowo denerwujące
są uproszczenia
autorstwa niektórych
Wielkich Pracodawców,
którzy co prawda
palcem nie kiwnęli,
by wspierać rodzime
szkolnictwo wyższe, ale
za to chętnie grymaszą,
że absolwenci nic
konkretnego nie potrafią

tylko – jak dawniej – skupiającą instytucją. Elitarnemu charakterowi tego gremium wyszły bowiem naprzeciw potrzeby państwa i jego coraz liczniejszych agend, w których zaczęto powierzać prestiżowe funkcje właśnie przedstawicielom profesury. W efekcie dla części kadry ich uczelniane obowiązki utraciły swój pierwszoplanowy charakter. Z drugiej strony całkiem niedawno rozprzestrzeniło się, nieznane wcześniej, zjawisko wieloetatowości – będące prostą konsekwencją pojawienia się takich możliwości oraz niskich pensji. Łatwość uzyskiwania urlopów bezpłatnych w związku z okresowym pełnieniem pozauczelnianych funkcji (w urzędach państwowych, w dyplomacji etc.) wzmocniła tylko te długofalowo negatywne dla uniwersytetu tendencje. Taki stan nie mógł być trwale tolerowany. Pojawiła się zatem reakcja w postaci prawnych ograniczeń, których wprowadzania jesteśmy teraz świadkami.

Można się jednak obawiać, że problem identyfikacji z uniwersytetem jako instytucją nie zostanie w ten sposób skutecznie rozwiązany. Tendencja do wyeliminowania wieloetatowości, sama w sobie chwalebna, w sytuacji braku znaczących podwyżek pensji budzi zrozumiałe opory. Próby wypracowania klarownych reguł dotyczących dodatkowego zatrudnienia raczej nie mogą zakończyć się powodzeniem, gdyż budowane są wokół pojęcia „konfliktu interesów”, do którego zdefiniowania używa się kategorii rynkowych, a więc zewnętrznych i w jakimś sensie drugorzędnych; mowa jest bowiem o konkurencji na „rynku edukacyjnym”. Ostrze wprowadzanych uregulowań skierowane jest zatem przeciwko dodatkowemu zatrudnieniu dydaktycznemu, a nie wszelkim innym pozauniwersyteckim zajęciom, które przecież mogą być daleko bardziej rozpraszające, a w każdym razie marginalizujące uczelnię w prywatnej optyce wykładowcy.

Tymczasem jedynym narzędziem weryfikacji powinna być ocena – realna, a nie formalna – efektów pracy naukowej i dydaktycznej wszystkich pracowników, a zatem ich przydatności dla uniwersytetu; ocena, którą ostatnio zaczyna się określać mianem „prawdziwej”. Czy jej realne, cykliczne dokonywanie jest możliwe? Czy koleżeńsko-łagodny charakter formułowanych opinii może zostać zastąpiony przez *stricte* merytoryczne oceny? To z pewnością wymaga poważnych zmian w sferze środowiskowej mentalności. Gdyby zaś do nich doszło, to otwartym pozostaje pytanie, czy owe oceny należałoby maksymalnie sformalizować, czy też, jak dawniej, miałyby ich dokonywać środowiskowe autorytety, wedle ogólnych reguł? Dodam od razu – opowiadając się zdecydowanie za tą drugą ewentualnością – że nie znam odpowiedzi na pytanie, jak owe autorytety należałoby identyfi-

kować, poza ogólnym przeświadczeniem, że „to się przecież wie”.

Warunkiem postulowanej identyfikacji z instytucją jest też zapewne odpowiedni poziom środowiskowej integracji, którą trudno osiągnąć w skali tak dużej uczelni. Oto przykład, pierwszy z brzegu. Podczas jednej z ostatnich uroczystości wręczenia doktoratu honorowego, prowadzonej osobiście przez rektora, któremu towarzyszyła dziekan Wydziału Wnioskującego, spośród przedstawicieli organu przyznającego wyróżnienie w Sali Senatu można było jeszcze spotkać: jednego prorektora, jednego dziekana i bodaj dwoje senatorów (w tym panią rektor poprzedniej kadencji). Żeby było jasne: zna-



komita publiczność licznie się zgromadziła, uroczystość była zdecydowanie udana, zaś nieobecnych wcale nie krytykuję (sam chodzę sporadycznie). Opisaną scenę traktuję jedynie jako ilustrację narastających trudności utrzymania ogólnouniwersyteckiej jedności, która siłą rzeczy będzie zastępowana przez więzi o bardziej lokalnym charakterze. Pocieszymy się, kolos o takich rozmiarach zapewne musi być trochę niemrawy, zaś mnogość lokalnych inicjatyw, które są realizowane na forum ogólnouczeniowym nieuchronnie uruchamia swoistą inflację godności. Musimy coraz mniej się temu dziwić i chyba przestać się gorszyć, choć przecież dawniej tak skromna asysta uniwersyteckich senatorów przy wręczaniu honorowego doktoratu byłaby nie do pomyslenia.

DYDAKTYKA I BIUROKRACJA

Dyskusje na temat procesu dydaktycznego, właściwych metod nauczania oraz ich skuteczności nie są niczym nowym. Cytowany już Sebastian Petrycy – niech nam dalej towarzyszy, bo to postać wyjątkowo interesująca – deklarował na przykład swój negatywny stosunek do szkolnictwa jezuickiego, pisząc: „jednak różna jest Akademia Krakowska od kolegium ojców jezuitów, bo w Akademii *virtutis amore* [kierując się umiłowaniem cnoty], z swej dobrej woli mają się studenci uczyć, z cnoty swojej, iż im to pożytecznie na potem będzie; u jezuitów uczą się *formidine poenae* [z obawy przed karą], dla bojaźni, dla karania, które jest niewolniczym animuszem”⁴. Toczył się – jak widzimy – nie tylko spór o metody i ich skuteczność, lecz przede wszystkim wyekspozowana tu została dobrowolność uczniowskiego zaangażowania, wynikająca z autentycznego zainteresowania i stanowiąca fundamentalny motyw studenckiej aktywności, która może być jedynie wspierana wizją owej „pożyteczności na potem”.

Masowość studiów fundamentalnie zmieniła ten obraz. Podkreślmy, że mamy tu na myśli zarówno liczbę studentów, jak też profesorów. Student z pasjonata stał się teraz – używając nowomowy – „beneficjentem usługi edukacyjnej”, profesor zaś owej usługi zawodowym dostawcą, przy czym konkretni przedstawiciele obu tych grup raczej nie byli pytani o zdanie, czy im to odpowiada i czy chcą być stroną takiego kontraktu. Oczywiście konsekwencją masowości jest głębokie, żeby nie powiedzieć zasadnicze zróżnicowanie uniwersyteckiej zbiorowości. Zatem profesor nie musi już – jak w nowożytniej Bolonii, Padwie czy Lowanium – być pasjonatem, oddanym bez reszty swojej profesji; może się okazać leniem albo plagiatorem, ale przede wszystkim pracownikiem – lepiej lub gorzej wykonującym powierzone sobie obowiązki; może się też zdarzyć student kompletnie do studiów nieprzygotowany, nieświadomy ich sensu i niebędący w stanie im intelektualnie sprostać. I nie są to, jak się wydaje, tylko jednostkowe przypadki.

Wróćmy zatem do lektury wywodów Petrycego z Pilzna. „Wychowanie jest dobre, prawda jest, bo gdzieżby było wychowanie we wszystkich koronnych synach dobre, nie potrzeba by praw było; ale iż nie każdy jest jednakowo wychowan, przeto praw potrzeba, owszem, u źle wychowanych ludzi prawo nierzadko nie waży”⁵. Dodajmy, że Andrzej Frycz-Modrzewski szedł jeszcze dalej zakładając, że dobre obyczaje kiedyś zastąpią prawa, czyli że człowiek właściwie ukształtowany „sam sobie będzie prawem”⁶. Nastąpić to jednak miało w bliżej nieokreślonej przyszłości. A zatem znowu nic nowego. Już kilkanaście lat temu wybitni dydaktycy i teoretycy edukacji dostrzegali potrzebę ustanowienia „praw” jako antidotum na ułomności studenckiego „wychowania”, przy czym w interesującym nas kontekście należałoby przyjąć możliwie szerokie rozumienie tego pojęcia, a zatem – poza zestawem norm oraz środowiskowo akceptowanych i młodemu człowiekowi wpojonych obyczajów – uzupełnić je o przygotowanie intelektualne.

Na dzisiejszy uniwersytet dociera bowiem młodzież bardzo zróżnicowana i często słabo przygotowana (nie miejsce tu na krytykowanie wcześniejszych faz krajowego systemu edukacji), co w oczywisty sposób oddziałuje na dydaktykę i w konsekwencji obniża jej poziom. Analogicznie zróżnicowany, także w wyniku masowości, stał się poziom nauczycieli akademickich. Wytworzyło to potrzebę podjęcia działań sanacyjnych. Żeby przeciwdziałać niekorzystnym tendencjom wprowadza się na masową skalę opisy dydaktycznych procedur, powołuje nowe instytucje (niech ich symbolem będzie określenie „biuro jakości”) oraz opracowuje stosowne regulaminy. Są to środki biurokratyczne w najczystszej postaci – co do tego nie może być wątpliwości. Czy nie jest to zarazem przejaw naszej bezradności?

O biurokracji pleniącej się w sferze szkolnictwa wyższego sugestywnie wypowiedział się ostatnio prof. Mirosław Karwat, pisząc o studentach oraz pracownikach dziekanatów, którzy są „załani powodzią papierów, a sparaliżowani formalnymi łańcuchowymi procedurami podań, pieczętek, opinii i zezwoleń w najdrobniejszych i najbardziej oczywistych sprawach”. „W tym samym czasie – czytamy dalej – armia wykładowców z narastającą irytacją wypełnia stos formularzy wypływających seryjnie z maszyny nazwanej »Krajowymi Ramami Kwalifikacji«”. Dalej jest o sylabusach i deklaracjach co do przewidywanych efektów kształcenia; że ważne są „etykiety”, a nie „klasycznie rozumiany program przedmiotu”; no i, że jest to „bezpowne marnotrawstwo czasu i energii”, czyli „coś między przelewaniem z pustego w próżne a rytualną modlitwą o deszcz”⁷.

Kolos o takich rozmiarach zapewne musi być trochę niemrawy, zaś mnogość lokalnych inicjatyw, które są realizowane na forum ogólnouczeniowym nieuchronnie uruchamia swoistą inflację godności

Niemal wszystko
w rankingach zależy od
kryteriów oraz sposobu
zbierania informacji,
a te najczęściej są
deklarowane przez
samyh zainteresowanych.
Finezyjne obliczenia
bazują więc na danych
wątpliwej jakości

Obserwowana ostatnio mnogość decyzji oraz oczekiwań mających charakter biurokratyczny wywołuje różne, na ogół niechętnie reakcje. Ale przecież działania organizacyjno-modernizacyjne, które obserwujemy i którym jako społeczność akademicka jesteśmy poddawani albo które sami kreujemy, mają też swoje zalety i swoich zwolenników. Ten podział na postawę bierną (rozumianą jako niechętnie i wymuszone reagowanie na biurokratyczne bodźce przychodzące z zewnątrz) oraz czynną (oznaczającą aktywny udział w tworzeniu nowych procedur), staje się w środowisku coraz bardziej widoczny i byłoby dobrze, gdyby nie był to podział antagonizujący. Problem z biurokracją jest jednak taki, że ona z reguły się sama napędza i kreuje kolejne biurokratyczne potrzeby oraz wyzwania.

NAUKA

Sytuacja oraz zmiany zachodzące w sferze badań naukowych wydają się daleko bardziej klarowne. Znaczenie tej sfery, cywilizacyjnie fundamentalnej, będzie rosło, także w obrębie uniwersytetu, bo w coraz większym stopniu wpływać będzie na jego materialną pomyślność i określać uczelniane hierarchie. Zasada, by finansowanie instytucji naukowych w coraz większym stopniu odbywało się za pośrednictwem grantów, pozyskiwanych przez konkretnych, zatrudnionych w danej instytucji badaczy, wydaje się słuszną, pod warunkiem wszakże, że przy okazji – co podejrzewają niektórzy – nie nastąpi ograniczenie owego finansowania.

System grantowy oczywiście nie jest pozbawiony wad. Jego krytycy podkreślają, że zniechęca on do podejmowania badawczego ryzyka, że promuje czysto techniczną sprawność w pisaniu wniosków, że zabiegi o uzyskanie finansowania pożerają coraz więcej czasu i energii, które można by poświęcić na pracę naukową (ten ostatni mankament cytowany już prof. Karwat dowcipnie skomentował, pisząc: „również w staraniach o granty należy napisać całą książkę o tym, jaką książkę bym napisał, gdybym dostał grant”), wreszcie, że system ten także sprzyja rozwojowi biurokracji.

Nie lekceważę żadnego z powyższych argumentów, za najważniejszy uznając tendencję do odpersonalizowania oceny – przy użyciu szczegółowych formularzy i tabel, stosowaniu punktów oraz obliczaniu ich średnich. Ma to służyć pełnej obiektywności, a tej – jak wiadomo – osiągnąć się nie da. Taki system, co oczywiste, lepiej pasuje do nauk ścisłych, daleko zaś gorzej do społecznych i humanistycznych, ale mimo wspomnianych i pewnie jeszcze wielu innych mankamentów zapewne będzie się rozbudowywał i umacniał, a środowisko, także humanistyczne, dość szybko do nowych reguł

skutecznie się przystosuje. Rosnące zainteresowanie środkami pochodzącymi z Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki zdaje się to potwierdzać.

MARGINES DOWOLNOŚCI

Pytanie o „nowoczesny uniwersytet” jest oczywiście pytaniem o przyszłość naszej uczelni. Nie mam w tej sprawie jasności i chętnie bym o tym porozmawiał. Z pewnością staniemy się uniwersytetem badawczym, jeśli tylko taka kategoria zostanie ostatecznie ustanowiona. Wszystko wskazuje też na to – była o tym mowa – że znaczenie badań naukowych dla bytu uczelni będzie rosło. To bardzo dobrze, bo systemowo w coraz większym stopniu premiowana będzie jakość oraz najwyższe kwalifikacje.

Ale jak pogodzić masowość studiów z wysoką jakością kształcenia, zwłaszcza gdy nowe problemy stwarza niż demograficzny? Czy formalizowanie struktur i procedur jest w tej sytuacji jedyną drogą? Rozumiem takie potrzeby i takie skłonności, ale nie mogę powiedzieć, że ta tendencja mi odpowiada albo że oceniam ją jako skuteczną.

Częścią myślenia biurokratycznego jest skłonność do tworzenia rankingów. Niezależnie od tego, co myślimy o ich podstawach i metodologii, czyli po prostu o ich jakości, podobają się nam one bardziej, gdy zajmujemy w skali kraju pierwsze miejsce, a mniej, gdy są to miejsca dalsze. Wiem, że nie można lekceważyć wizerunkowych konsekwencji rankingowego procederu, ale warto utrzymywać doń jak największy dystans. Na uniwersyteckiej stronie internetowej czytałem niedawno optymistyczne doniesienie, że w rankingu Webometrics (koncentrującym się ponoć na „aktywności uczelni w sieci”) zajęliśmy 234. miejsce na świecie, jesteśmy aktualnie najwyżej plasującą się polską uczelnią, a w stosunku do notowań zeszłorocznych awansowaliśmy o 113 miejsc (sic). Ciśnię się zatem na usta pytanie – a cóż takiego w ciągu minionego roku się na UW wydarzyło? Jakie to zmiany nastąpiły; zmiany tak fundamentalne, że nasz dystans w stosunku do światowej czołówki (jej skład nie zaskakuje: Harvard, Stanford, MIT) został skrócony aż o jedną trzecią? Aż boję się pomyśleć, że może chodzi tu o zmiany w składzie zespołu rektorskiego. Choć przecież większość tego gremium pełniła rektorskie funkcje także rok temu.

Ale poważnie. Wiadomo, że niemal wszystko w rankingach zależy od kryteriów oraz sposobu zbierania informacji, a te najczęściej są deklarowane przez samych zainteresowanych. Finezyjne obliczenia bazują więc na danych wątpliwej jakości. Tymczasem jeśli ktoś chciałby stworzyć ranking krajowych studiów, powiedzmy historycznych (mogą być też biologiczne, chemiczne i każde inne), to służyć pomocą. Trzeba zapytać dziesięciu, można też pięćdziesięciu albo stu, zawodowo czynnych historyków (biologów, chemików), gdzie najchętniej widzieliby na studiach

swoje dzieci, gdyby te postanowiły studiować właśnie historię (biologię, chemię) i nie chciały tego robić zagranicą. Wynik byłby bez wątpienia wartościowy, a koszt badania – minimalny. Można zatem prosto, skutecznie, zdroworozsądkowo, bez nadmiernie rozbudowanej metodologii, no i tanio.

Najważniejsze jednak, że na uniwersytecie nie wszystko może oraz musi być wymierne i jednoznaczne ani też „praktyczne” i „przydatne”. Musi istnieć margines wolności, bezinteresowności oraz nieprzewidywalności. Dla mnie w każdym razie „nowoczesny uniwersytet” to taki, który nie jest przesadnie nowoczesny; który posługuje się nowymi narzędziami, ale zostawia potężny margines dla sytuacji wyjątkowych oraz ludzkiej ingerencji. Symbolicznie rzecz ujmując: USOS – informatycznie stale doskonalony – tak; ale rozumiany tylko jako narzędzie organizacji studiów prowadzonych na masową skalę (grupy, sale, zaliczenia, kontakt z prowadzącym zajęcia etc.); jednak kiedy tylko któryś z profesorów będzie chciał odbyć ze studentem kolokwium „po terminie” albo „dodatkowo”, to musi być na to sposób; bo właśnie relacja tych dwóch/dwojga osób jest na uniwersytecie bodaj najważniejsza. Syllabus – jako podstawowa informacja o treści i warunkach studiowania – tak; ale z możliwością zmiany oraz dydaktycznej improwizacji, gdy ta okaże się potrzebna; a już na pewno bez konieczności opisywania oczekiwanego, czy też domniemanego „outputu”, bo to już tylko biurokratyczne zawracanie głowy.

TRZECIA DROGA?

Czy taka „trzecia droga” jest możliwa na współczesnym uniwersytecie? Nie wiem, ale chyba warto jej szukać. Zwłaszcza, że nasza sytuacja nie wydaje się unikalna – nie pierwsze to reformy i nie pierwsze co do nich wątpliwości. Czytam właśnie jeden z maszynopisów przyszłej, jubileuszowej syntezy dziejów i dokonań naszej Alma Mater, a w części dotyczącej okresu międzywojennego (bardzo ciekawie napisanej przez Dorotę Zamojską) – o ówczesnej zmianie systemu studiowania: „dotychczasową wolność uczenia się, zakładającą pełną swobodę studenta w wyborze zajęć i wykładowców, a więc i jego dojrzałość do dokonywania takich wyborów wypierał system kursowy, narzucający studiującemu zestaw i kolejność przedmiotów, a także w coraz większym stopniu treść wykładów. Zmiany te zachodziły pod naciskiem dwustronnym: z jednej strony studenci to w coraz większym stopniu ludzie szukający po prostu zawodu, a nie samorozwoju, z drugiej – finansujące uczelnie państwo oczekiwało od nich kształcenia swych sprawnych funkcjonariuszy, a nie filozofów rozwiązujących egzystencjalne pytania”.

Odnotowując cykliczne pojawianie się analogicznych uniwersyteckich dylematów powracam, już na zakończenie, do lektury *Rewizora*, żeby przytoczyć złotą myśl Horodniczego: „Zdarza się czasem, że od nadmiaru



rozumu gorzej jest, niż gdyby go wcale nie było”. Zdanie to z pewnością można rozumieć wielorako. Ja dzisiaj odczytuję je właśnie jako przestrożę przed definiowaniem wszystkiego, przed przesadnym dążeniem do jednoznaczności, przed powszechnym formalizowaniem procedur i opracowywaniem odnośnych regulaminów, w złudnej nadziei, że osiągniemy w ten sposób tak pożądaną wymierność oraz przejrzystość, nie tracąc przy tym z pola widzenia naszych najważniejszych zadań oraz nie zapominając o sensie istnienia uniwersytetu.

¹ Wedle relacji brata, Maxa, Warburg miał dosłownie powiedzieć: „Wenn mehr Bücher gelesen würden, so würden weniger geschrieben werden” („gdyby czytano więcej książek, mniej by ich pisano”) – zob. *Mnemosyne. Beiträge zum 50. Todestag von Aby M. Warburg*, hrsg. von Stephan Füssel, Gratia-Verlag, Göttingen 1979, s. 27. Dziękuję prof. Ryszardowi Kasperowiczowi za zwrócenie mi uwagi na tę sentencję oraz miejsce jej publikacji. ² *Notabene*, „nowoczesny uniwersytet” to także nazwa projektu unijnego (głównie szkoleniowego, ale umożliwiającego także okresowe zapraszanie zagranicznych profesorów), który jest realizowany na naszej uczelni. Nie o nim jednak tu mowa. ³ Cyt. za Henryk Barycz, *Kilka rysów i spostrzeżeń z życia i charakteru Sebastiana Petrycego*, w: *Sebastian Petrycy. Uczony doby Odrodzenia*, Wrocław-Warszawa 1957, s. 24-25. ⁴ *Sebastian Petrycy, Przydatki do Polityki arystotelesowej*, ks. V, w: *idem, Pisma wybrane*, t. 1, opr. Wiktor Wąsik, Warszawa 1956, s. 359. ⁵ *Ibidem*, ks. III, s. 254. ⁶ Andrzej Frycz-Modrzewski, *O poprawie Rzeczypospolitej*, ks. I, rozdz. V, Warszawa 1953, s. 109. ⁷ Mirosław Karwat, *Szkoły wyższe, czy szkółki zawodowe. Absolwent – kukulcze jajo, gorący kartofel?*, *Decydent*.pl, nr 134, styczeń 2013.

Ponad 1500

umów o współpracy z uczelniami zagranicznymi podpisał Uniwersytet Warszawski w ostatnich latach.

Okolo 1500

– tyłu obecnie studentów zagranicznych studiujecie na UW. Wśród kierunków, które najchętniej wybierają znajdują się: stosunki międzynarodowe, europeistyka, ekonomia, zarządzanie, psychologia, filologie: polska, ukraińska, angielska; politologia, prawo, a także dziennikarstwo i komunikacja społeczna.

Studenci zagraniczni na UW to głównie Europejczycy. Najwięcej osób pochodzi z Ukrainy i Białorusi. Liczną grupę stanowią osoby z Litwy, Rosji, ale i Chin czy Nigerii. Uczą się tu także Wietnamczycy, Amerykanie, Szwedzi, Turcy, Irakijczycy, Niemcy, Kazachowie, Armeńczycy, Pakistańczycy i obywatele Arabii Saudyjskiej.

Z roku na rok wzrasta wśród cudzoziemców zainteresowanie studiami w Polsce. Niektórzy z nich decydują się na udział w programie Erasmus i spędzają jeden lub dwa semestry na którejś z polskich uczelni. Inni zaś wybierają regularne studia długoterminowe. Ocenia się, że obecnie w naszym kraju studiujecie ok. 25 tys. obcokrajowców, czyli niemal o 5 tys. osób więcej niż w roku akademickim 2010/2011.

Umieędzynarodowienie polskich uczelni oraz budowanie wyróżniającej się marki akademickiej to zagadnienia, o których rozmawiano podczas konferencji „Studenci zagraniczni w Polsce 2013”. 17 i 18 stycznia UW odwiedziło ponad 250 osób z 95 uczelni oraz instytucji rządowych i pozarządowych, które zajmują się procesem internacjonalizacji szkolnictwa wyższego w Polsce. Organizatorami spotkania byli: Uniwersytet Warszawski, Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich oraz Fundacja Edukacyjna „Perspektywy”.

O tym, jak ważne jest umieędzynarodowienie szkolnictwa wyższego, nie tylko dla uczelni, ale również dla naszego państwa powiedział w trakcie spotkania prof. Marcin Pałys, rektor Uniwersytetu. – Studenci cudzoziemcy zmieniają Polskę i zmieniają wyobrażenie o Polsce. Dlatego zachęcenie większej liczby studentów z zagranicy do studiowania w naszym kraju nie jest wyłącznie sprawą uczelni. To jest po prostu w interesie kraju, dlatego wciąż oczekujemy większego zaangażowania Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz Ministerstwa Spraw Zagranicznych w promocję studiów i studiowania w Polsce – powiedział rektor.

Prof. Włodzimierz Nykiel, rektor Uniwersytetu Łódzkiego oraz przewodniczący komisji ds. współpracy międzynarodowej KRASP poruszył kwestię działań, które należy podjąć, by liczba zagranicznych studentów w Polsce rosła. – Na pewno powinna zostać skonstruowana wspólna polityka państwa, zakładająca współdziałanie ministerstw i urzędów. Najważniejszą rolę powinno spełniać tu MNiSW – powiedział rektor UŁ. Wskazał na potrzebę stworzenia agencji wymiany akademickiej, która wspierałaby umieędzynarodowienie polskich uczelni. Wspomniał, że od 2008 roku o stworzenie Polskiej Agencji Wymiany Akademickiej (PAWA) wnioskuje przedstawiciele komisji ds. międzynarodowych KRASP. Taka instytucja miałaby promować na

świecie polskie szkolnictwo wyższe, na kształt niemieckiej DAAD, angielskiej British Council, francuskiej CampusFrance czy holenderskiej NUFFIC.

Prof. Marta Kicińska-Habior, prorektor UW ds. studentów i jakości kształcenia dodała, że ta instytucja powinna pełnić jeszcze jedną, ważną funkcję. – Mogłaby finansować kształcenie studentów zagranicznych w Polsce, którzy pochodzą z krajów mniej zamożnych. Uczelniom zależałoby na instytucji, która pomagałaby zdolnym osobom także od strony finansowej – podkreśliła prorektor.

Kwestię powołania agencji skomentowała prof. Daria Lipińska-Nałęcz, podsekretarz stanu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego. – To jest bardzo złożony problem. Nie znamy jeszcze odpowiedzi na pytanie, czy i jak łączyć działalność Fundacji Rozwoju Systemu Edukacji oraz Biura Uznawalności Wykształcenia i Wymiany Międzynarodowej. Na razie nie ma zaplanowanych środków na ten cel. W drugim kwartale tego roku będziemy prowadzić w tej sprawie konsultacje ze środowiskiem akademickim – zadeklarowała.

Podsekretarz stanu zwróciła również uwagę na potrzebę wprowadzenia innych kluczowych zmian, np. w procesie rekrutacji polskich studentów. – Będziemy mieć kilka uczelni światowej klasy, jeżeli te zdecydują się na podwyższenie progu wymagań. To od otoczenia studenckiego zależy, jak postrzegane są polskie uczelnie przez cudzoziemców – stwierdziła. – Albo mamy ambitnych ludzi, którzy chcą coś w życiu osiągnąć, albo mamy ludzi, których uczymy tabliczki mnożenia i zapisania jednego zdania w języku ojczystym – powiedziała.

W trakcie styczniowej konferencji ogłoszono również wyniki konkursu „Interstudent 2012” na najlepszego studenta zagranicznego w Polsce. Nagrodę specjalną otrzymała Abnoos Moslehi z Iranu, która studiujecie psychologię po angielsku na Wydziale Psychologii UW.

CAN YOU HELP ME?

By skutecznie zachęcać obcokrajowców do studiowania w Polsce, nie wystarczą jedynie rozwiązania systemowe. Warto skoncentrować się na eliminowaniu codziennych problemów. Co należy zmienić? – Jeśli studenci mają polskie korzenie i choć trochę znają język polski, jest im

łatwiej. Obcokrajowcy, którzy w ogóle nie mówią po polsku – nie rozumieją szyldów i nie potrafią poprawnie przeczytać nazwy ulicy. Wtedy najczęściej przychodzą do pracowników sekretariatu i liczą na pomoc – mówi Marta Cudna z Warsaw International Studies in Psychology UW, która zajmuje się obsługą studentów zagranicznych.

Największym problemem, z jakim muszą zmierzyć się studenci zagraniczni jest utrudniony dostęp do informacji. Tu Marta Cudna wskazuje m.in. na anglojęzyczną stronę UW. – Natychmiast trzeba stworzyć nową stronę internetową w języku angielskim. Przyjrzyjmy się, jak wyglądają strony innych uczelni, nie-

które z nich mają nawet chińskie wersje językowe – stwierdza. I dodaje też, że nie byłaby zaskoczona, gdyby student zagraniczny pomyślał, że nie warto przyjeżdżać na UW, bo już sama strona internetowa wygląda nieprofesjonalnie.

Można jednak zauważyć zmianę w sposobie postrzegania polskiego szkolnictwa przez obcokrajowców. – Najlepszą naszą wizytówką są studenci cudzoziemcy, którzy są zadowoleni z pobytu na UW. Po powrocie opowiadają kolegom o studiach w Polsce. Nie tylko zachęcają ich do przyjazdu, ale przy okazji burzą wiele negatywnych stereotypów o naszym kraju i tutejszej edukacji – opowiada.

TEHERAN – DUBAJ – WARSZAWA

By móc uczestniczyć w rozmowie kwalifikacyjnej na UW musiała polecieć do Dubaju. Dziś Abnoos Moslehi z Iranu jest studentką Warsaw International Studies in Psychology. Pasjonuje się neurologią, neurobiologią oraz neuropsychologią kliniczną. Jest zaangażowana w projekty, dzięki którym Polacy mogą dowiedzieć się czegoś więcej o kulturze i sytuacji politycznej Iranu. Tłumaczy książki i pracuje z chorymi cierpiącymi na afazję. Dodatkowo też popularyzuje wiedzę na temat zaburzenia afektywnego dwubiegunowego. Za to wszystko została wyróżniona przez Fundację Edukacyjną „Perspektywy”.

Trudno uwierzyć, że jedna osoba jest w stanie godzić ze sobą tyle pasji. Jak Ci się to udaje?

Nie sądzę, żebym robiła za dużo, dla mnie to naturalne. Planuję swoje zadania i staram się tego planu trzymać. Czasem trudno jest dzielić czas pomiędzy studia, zajęcia dodatkowe, dbanie o obowiązki, spotykanie się ze znajomymi czy utrzymywanie kontaktu z rodziną, która jest w Iranie, ale wszystko można pogodzić. Myślę, że to co robię, to także motywacja dla moich bliskich. W zamian za to otrzymuję od nich wsparcie.

Dlaczego zdecydowałaś się na studia w Polsce?

Zależało mi na studiowaniu psychologii po angielsku w Europie. Tu są tylko trzy takie programy, nie licząc studiów w Wielkiej Brytanii. Zgłosiłam swoją kandydaturę na każdy z nich. Ci, którzy chcieli studiować na UW musieli odbyć rozmowę kwalifikacyjną osobiście lub przez Skype’a. W Iranie występowały problemy z internetem, dlatego musiałam podjąć decyzję, czy naprawdę chcę dostać się na te studia i czy jestem gotowa pojechać do innego kraju, żeby odbyć rozmowę kwalifikacyjną bez zakłóceń. Spędziłam długą noc na sprawdzaniu informacji na temat profesorów i wykładowców oraz o samych studiach.

Byłam zaskoczona jakością tego programu, różnorodnością oferowanych kursów, liczbą profesorów zapraszanych z całego świata. Kupiłam bilet i poleciałam do Dubaju, żeby przeprowadzić tę rozmowę. Poszło mi dobrze.

Jak to się stało, że zaczęłaś pracować z pacjentami dotkniętymi afazją?

Podobnie jak inni studenci Wydziału Psychologii UW, wzięłam udział w projekcie badawczym polegającym na leczeniu i rehabilitowaniu ludzi, którzy utracili umiejętność mówienia na skutek uszkodzenia mózgu. W trakcie tych spotkań uczymy się, w jaki sposób należy komunikować się z pacjentami, jak ocenić ich możliwości funkcjonowania oraz planować ćwiczenia, które mogą im pomóc. Pracujemy pod opieką profesorów, a pod koniec semestru oceniane są zarówno postępy pacjentów, jak i nasza praca.

▼ Abnoos Moslehi (w środku) laureatka konkursu „Interstudent 2012”, fot. K. Wojciewski/„Perspektywy”.



ODŚWIEŻONY NAUCZYCIEL

Podobno w czasie zajęć ważne jest to, czy wykładowca stoi, czy siedzi. Przed idealną lekcją sala jest wywietrzona, tablica starta, sprzęt do prezentacji uruchomiony. A same zajęcia? Porad, jak powinny wyglądać te idealne, udzielają trenerzy. Mogą z nich korzystać nauczyciele akademicki UW. Jest jeszcze na to szansa, bo program szkoleń „Nowoczesny Uniwersytet” trwa do grudnia 2014 r.

Szkolenia mają podnieść jakość zajęć. Mogą w nich brać udział osoby ze statusem pracownika. Zajęcia obserwuje trener, a później komentuje je z prowadzącym. To pierwszy taki program na UW.

NO I CZEGO TU SIĘ BAĆ?

Marcin Stachurski mówi o sobie, że jest nauczycielem poszukującym. Uczy niemieckiego w Szkole Języków Obcych UW. Skorzystał z zajęć wizytowanych. – Chciałem sprawdzić, jak zostaną ocenieni przez osobę z zewnątrz. Nie jestem typem nauczyciela, który boi się oceny lub prowadzi lektorat przy zamkniętych drzwiach. Najcenniejsza jest konstruktywna krytyka – stwierdza.

Dr Patrycja Dąbrowska-Kłosińska z Centrum Europejskiego UW zaprosiła specjalistkę na ćwiczenia z prawa gospodarczego UE. – Trenerka zachowuje się dyskretnie. Jej obecność nie ma wpływu na zachowanie studentów. Oczywiście czułam pewną treść. Można ją porównać do uczucia towarzyszącego prezentacji referatu na konferencji. Aktor przed premierą pewnie podobnie odczuwa stres – opowiada pani doktor.

– Jeśli nauczyciel jest zdenerwowany, to znak, że przygotowywał się do zajęć i chce wypaść jak najlepiej – twierdzi Ewa Gugała-Hugues, trenerka współpracująca z UW. – Nie oceniamy wykładowcy pod względem merytorycznym, ale to czy jest on przygotowany do zajęć, czy dba o wywietrzenie sali, przedstawia cel zajęć i podsumowuje je, czy aktywizuje studentów oraz w jaki sposób mówi.

WSZYSTKO ZOSTANIE MIĘDZY NAMI

Po zajęciach trener dzieli się z nauczycielem obserwacjami. – Uwagi przypominały mi o detalach takich, jak dobre oświetlenie czy pozytywne nastawienie do zajęć – przyznaje Marcin Stachurski. Szkoleniowiec omawia, co na zajęciach było dobre, a co warto ulepszyć. – Innymi słowy to trening metodyki, a nie ocena treści zajęć. Dyskusja o optymalnym i innowacyjnym uczeniu. Nie chodzi o to, by dowiedzieć się, że można zrobić prezentację, używając Power Pointa, ale jak w łatwy i prosty sposób zmotywować studentów. Prowadzenie zajęć *ex cathedra*, gdy studenci cichutko notują, odchodzi do przeszłości – uważa dr Dąbrowska-Kłosińska.

Ewa Gugała-Hugues wizytowała kilkanaście zajęć na UW. – Nauczyciele byli przygotowani, ale nie zawsze zwracali uwagę na nawiązywanie kontaktu ze studentami albo niuanse takie, jak wycieranie tablicy – mówi.

Udział w zajęciach nie przekłada się na podwyżkę lub dodatkowe punkty. – Niektórzy pracownicy obawiają się, że jest to rodzaj hospitacji, a tak nie jest – uspokaja Dominik Wasilewski, kierownik programu „Nowoczesny Uniwersytet” z biura ds. wspomagania rozwoju UW. – Udział w zajęciach służy jedynie podniesieniu jakości prowadzonych zajęć. Raporty ze spotkań trenerów i wykładowców nie służą ocenie pracowników i nie są przekazywane przełożonym. Natomiast w formie zbiorczych, anonimowych wyników posłużą w przyszłości do opracowania poradnika dobrych praktyk, który planujemy wydać na koniec programu.

MŁODYM BARDZIEJ CHCE SIĘ CHCIĆ

Bardzo aktywną grupą w programie są doktoranci. – Chcą się uczyć, zdobywać wiedzę – mówi Dominik Wasilewski. Starsi wykładowcy też mogliby wprowadzić nowe metody do swoich zajęć. – Niektórzy wpadają w rutynę – ostrzega Gugała-Hugues.

Do końca ubiegłego roku program doskonalenia nauczycieli akademickich był zrealizowany w 50%. Małe zainteresowanie zajęciami z trenerem zdziwiło dr Dąbrowską-Kłosińską. – Wygląda to tak, jakby wszyscy mieli pewność, że genialnie prowadzą zajęcia – ocenia. – Warto usłyszeć, jakie są nowinki w dydaktyce niezależnie od tego, czy wyklada się 5 czy 20 lat. Ten, kto rozpoczyna nauczanie studentów, powinien odbyć zajęcia z trenerem obowiązkowo. Ten, kto już wyklada, może co kilka lat odświeżyć metodykę uczenia. Dzięki temu UW będzie otwarty na nowoczesne sposoby przekazywania wiedzy i będzie atrakcyjny dla studentów.

Według badania przywołanego przez biologa ewolucyjnego Roberta Triversa w tygodniku „Forum”, 70% ludzi uważa, że prezentuje się ponadprzeciętnie dobrze. 94% pracowników naukowych myśli o sobie, że plasuje się powyżej średniej (*Śmierć frajerom!*, „Forum” z 11 lutego, na podstawie amerykańskiego dwutygodnika „The New Republic”). Ciekawe, czy studenci podobnie oceniliby pracowników UW?

Zajęcia wizytowane to typ szkoleń organizowanych z programu „Nowoczesny Uniwersytet” – kompleksowy program wsparcia dla doktorantów i kadry dydaktycznej Uniwersytetu Warszawskiego”.

Program doskonalenia nauczycieli akademickich składa się z modułów: dydaktyka szkoły wyższej, pozyskiwanie środków na badania naukowe i tworzenie nowych programów kształcenia ze środków zewnętrznych oraz zajęć wizytowanych.

NUW sfinansowany został z Europejskiego Funduszu Społecznego z programu Kapitał Ludzki.

Informacje o szkoleniach znajdują się na stronie www.nuw.uw.edu.pl.

WSOŁCZEWCE

UWRC: MAMY WSPÓLNIKA

Spółka UWRC będzie produkować radiofarmaceutyki z francuską firmą Advanced Accelerator Applications.

Pierwsze zadania uniwersyteckiej spółki to produkcja i sprzedaż radiofarmaceutyku – fluoroodeoksyglukozy. Będą one możliwe dzięki podpisaniu 11 stycznia umowy o współpracy UWRC z AAA.

Firma zarządza laboratoriami przy produkcji, dystrybucji i marketingu radiofarmaceutyków, stosowanych w Unii Europejskiej i Szwajcarii. Ma swoje oddziały także w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie.

Substancje będą powstawały w Ośrodku Produkcji i Badań Radiofarmaceutyków w Środowiskowym Laboratorium Ciężkich Jonów UW. – Dzięki współpracy partnerskiej UWRC może skorzystać z doświadczeń ważnego gracza na rynku radiofarmaceutyków, uzyskując dostęp do najnowszych technologii i praktyk pro-

dukcyjnych – zapewnia prof. Krzysztof Klincewicz z zarządu spółki UWRC, wykładowca na Wydziale Zarządzania. – Uniwersytet Warszawski wnosi z kolei bogate doświadczenia badawcze, które są niezbędne do uruchomienia działalności produkcyjnej.

Radiofarmaceutyki to substancje, które umieszcza się w ciele pacjenta. Promieniowanie wytwarzane przez jeden ze składników farmaceutyku (izotop) rejestruje Pozytonowy Tomograf Emisyjny (PET). W ten sposób odkrywa się chore komórki, np. nowotworowe.

Odbiorcami produktów UWRC i AAA mogą być szpitale oraz instytucje naukowe w całej Polsce. – Produkty medycyny nuklearnej są trudne w produkcji i dystrybucji ze względu na krótki okres przydatności – mówi Stefano Buono, założyciel i prezes AAA. Specyfiki te w ciągu kilku godzin od wyprodukowania muszą docierać do potrzebujących.

CHEMICY ŁATAJĄ BUDŻET?

Obecnie przy transporcie prądu elektrycznego tracimy nawet do 40% energii. Wszystko przez niewłaściwe materiały. Gdyby aluminium zastąpić nadprzewodnikami straty można by zredukować do zera.

Próbę znalezienia nadprzewodnictwa w zupełnie nowym typie materiałów – wyższych fluorkach srebra poddanych inżynierii krystalicznej, podjęła grupa naukowców pod kierownictwem prof. Wojciecha Grochali z Centrum Nowych Technologii UW. To pierwszy projekt TEAM Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, który był realizowany na UW.

ZZIĘBNIĘTY METAL

Nadprzewodnictwo zaobserwowano po raz pierwszy w 1911 roku. Dowiedziano wtedy, że schłodzona do bardzo niskich helowych temperatur rtęć wykazuje brak oporu elektrycznego dla prądu stałego. Za to odkrycie holenderski fizyk Heike Kamerlingh-Onnes został uhonorowany nagrodą Nobla. Od tego czasu na całym świecie trwają wysiłki, by zsyntezować mate-

riały wykazujące nadprzewodnictwo w temperaturach otoczenia.

Do lat 80. nauka o nadprzewodnictwie rozwijała się powoli. Sądzone, że temperatura 40 kelwinów jest nieprzekraczalna. Tymczasem w połowie lat 80. nastąpił przełom. Z poziomu 35 kelwinów temperatura krytyczna wzrosła do 164 dla związków miedzi i tlenu. – Nam udało się scharakteryzować bardzo dużą gamę ważnych i egzotycznych związków, które wcześniej nie były szczegółowo zbadane. Okazało się, że proste związki srebra dwuwartościowego są wicerekordzistami jeśli chodzi o siłę oddziaływań magnetycznych. Przewyższają je jedynie tlenki miedzi – mówi prof. Grochala.

PĘDZĄCA PODUSZKA

W zespole pracowali eksperymentalni i teoretycy: trzech doktorów, dwóch doktorantów i aż ośmiu magistrów. W programie TEAM chodziło o zaangażowanie młodych, utalentowanych naukowców w ważne badania. Na ich prowadzenie zespół otrzymał ok. 1,8 mln zł.

– Ze względu na bardzo silne powiązanie z chemią fluoru, która jest bardzo trudna i niebezpieczna, takie badania prowadzone są w niewielu ośrodkach na świecie – mówi kierownik projektu. Naukowcy współpracowali z laboratorium fluorowym Instytutu Jožefa Stefana w Słowenii, ośrodkiem wysokociśnieniowym w Carnegie Institution of Washington, ośrodkiem synchrotronowym i neutronowym PSI w Szwajcarii oraz z amerykańskim laboratorium rządowym Argonne National Laboratory koło Chicago.

– W liniach przesyłowych wysokiego napięcia tracimy do 30% prądu. Gdyby udało się transportować go materiałami nadprzewodzącymi w temperaturze pokojowej, zredukowalibyśmy te straty do zera – mówi prof. Wojciech Grochala. – Byłaby to niewiarygodna oszczędność. W skali Polski kilkanaście miliardów dolarów rocznie, czyli wysokość naszej dziury budżetowej. Oczywiście trzeba się liczyć z wysokim kosztem wyprodukowania tych materiałów i zastąpienia starych uzwojeń nowymi, ale później w bardzo długiej perspektywie czasowej nie musielibyśmy ponosić strat energii – dodaje profesor.

To nie jedyne zalety. Nadprzewodnictwo można wykorzystać też przy budowie szybszych procesorów terahercowych oraz pociągów, poruszających się na poduszce magnetycznej. Takie lewitujące pociągi w Japonii osiągają już prędkość większą niż 500 km/h (na polskich torach rekord prędkości należy do włoskiego składu Pendolino, który w 1994 r. mknął z prędkością 250 km/h przez Centralną Magistralę Kolejową).

CIĄG DALSZY NASTĄPI

W ciągu czterech lat naukowcy zajmowali się 20 związkami chemicznymi, siedem z nich wykazało pożądane oddziaływania, ale tylko dwa z nich okazały się antyferromagnetyczne, czyli niezbędne przy wygenerowaniu nadprzewodnictwa.

Niestety, żadnego z dwóch związków chemicznych nie udało się domieszkować, czyli wprowadzić do nich niewielkiej ilości innych pierwiastków chemicznych, tak żeby wykazywały nadprzewodnictwo. Badania będą jednak kontynuowane w kolejnych latach. Grupa prof. Grochali w dwóch konkursach prowadzonych przez Narodowe Centrum Nauki otrzymała ok. 2 mln. zł.

PRECYZYJNY POMIAR ROZMIARÓW WSZECHŚWIATA

Międzynarodowy zespół naukowców kierowany przez prof. Grzegorza Pietrzyńskiego z Obserwatorium Astronomicznego UW, ogłosił na łamach tygodnika „Nature” wyniki pomiaru odległości do pobliskiej galaktyki – Wielkiego Obłoku Magellana – dokonanego z bezprecedensową dokładnością około 2%. Odległość do tej galaktyki od wielu lat uznawana jest przez astronomów za wzorzec odległości we Wszechświecie, swoisty odpowiednik wzorca metra przechowywanego w Sèvres pod Paryżem.

Pomiar odległości przekraczającej 160 tys. lat świetlnych z precyzją przypominającą dokładność pomiarów odległości, jakich dokonujemy w życiu codziennym, pozwala bardzo dokładnie wykalibrować „kosmiczną linijkę”, służącą astronomom do pomiaru odległości we Wszechświecie. A co za tym idzie, wyznaczyć słynną stałą Hubble’a z dokładnością około 3% – wyjaśnia znaczenie rezultatów badań prof. Pietrzyński.

Od czasu odkrycia ekspansji Wszechświata pomiar stałej Hubble’a jest powszechnie uważany za jedno z najważniejszych zadań i wyzwań współczesnej astrofizyki, definiuje ona bowiem tempo ekspansji Wszechświata. Precyzyjna wartość stałej Hubble’a jest niezbędną informacją potrzebną do analizy przyszłych losów Wszechświata, a jej dokładny pomiar powinien przybliżyć nas również do odkrycia natury zagadkowej ciemnej energii, która stanowi aż 75% masy Wszechświata.

Po prawie stu latach badań okazało się, że

najlepszy pomiar stałej Hubble’a należy wykonać w trzech krokach. Podstawą pomiaru jest wyznaczenie odległości do Wielkiego Obłoku Magellana. Następnie przy użyciu gwiazd zmiennych – zwanych Cefeidami – mierzy się odległości do innych galaktyk, przyjmując za jednostkę odległość do tego obłoku. W ten sposób można zmierzyć odległości aż do galaktyk, w których zaobserwowano wybuchy gwiazd supernowych i skalibrować ich jasność. Pomiary jasności gwiazd supernowych służą z kolei do wyznaczania odległości do bardzo odległych zakątków Wszechświata.

Okazuje się, że największym problemem w tej złożonej i skomplikowanej procedurze wyznaczania rozmiarów Wszechświata jest dokładny i wiarygodny pomiar odległości do Wielkiego Obłoku Magellana. Dlatego pomiar odległości do Wielkiego Obłoku Magellana, stanowiący podstawę „kosmicznej linijki”, jest tak istotny dla współczesnej astrofizyki – objaśnia prof. Pietrzyński. W literaturze można znaleźć ponad 500 wyznaczeń odległości do tej galaktyki. Najbardziej wiarygodne wyznaczenia mają dokładność rzędu 10%. Trzeba zaznaczyć, że znakomita większość pomiarów wymagała dodatkowych założeń, co praktycznie uniemożliwia poprawną ocenę ich dokładności – dodaje prof. Pietrzyński.

Jednym z najbardziej obiecujących sposobów dokładnego, czysto eksperymentalnego wyznaczania odległości w pobliskim Wszechświecie

jest wykorzystanie tzw. gwiazd zaćmieniowych. Są to układy dwóch gwiazd związanych siłami grawitacji i obiegających wspólny środek masy oraz umiejscowionych w przestrzeni w taki sposób, że obserwowane z Ziemi przesłaniają się wzajemnie.

Obserwacje zmian blasku takich układów gwiazd oraz pomiary prędkości ruchu obiegowego ich składników pozwalają na podstawie prostych praw fizyki wyznaczyć rozmiary liniowe gwiazd oraz w przypadku chłodnych gwiazd, ich rozmiary kątowe, co umożliwia bezpośrednie wyznaczenie odległości.

Dzięki analizie unikalnych danych fotometrycznych kilkudziesięciu milionów gwiazd z Wielkiego Obłoku Magellana, zebranych w ramach projektu OGLE, realizowanego w Obserwatorium Astronomicznym UW, pod kierownictwem prof. Andrzeja Udalskiego, udało się odkryć unikalne układy zaćmieniowe złożone z olbrzymich chłodnych gwiazd (typowo 30 razy większych od Słońca), krążące wokół wspólnego środka masy z okresami kilkuset dni. Gwiazdy te są dostatecznie jasne, aby móc wykonać dla nich konieczne pomiary z doskonałą dokładnością.

W ramach międzynarodowego projektu Araucaria, którego liderem jest prof. Pietrzyński, wykonano w ciągu ostatnich ośmiu lat za pomocą wielkich teleskopów optycznych w Chile: 6,5-m teleskopu Magellana w Obserwatorium Las Campanas oraz 3,6-m teleskopu i 3,5-m teleskopu NTT w Obserwatorium ESO w La Silla wszystkie potrzebne obserwacje

wyselekcjonowanych z danych OGLE systemów zaćmieniowych. W połączeniu z precyzyjnymi pomiarami jasności uzyskanymi przez projekt OGLE w Obserwatorium Las Campanas, naukowcy wyznaczyli odległość do Wielkiego Obłoku Magellana z bezprecedensową dokładnością około 2%.

Należy zaznaczyć, że przedstawiony pomiar jest w pełni empiryczny i nie wymaga żadnych dodatkowych założeń. Ogromna prostota metody pozwala na bardzo dokładne oszacowanie precyzji wyznaczenia odległości, co jest niemożliwe w przypadku innych technik, używanych do pomiaru odległości do pobliskich galaktyk – tłumaczy prof. Pietrzyński.

Co ważniejsze, dokładność techniki wyznaczania odległości za pomocą chłodnych gwiazd zaćmieniowych będzie w niedalekiej przyszłości można jeszcze zwiększyć – nawet do 1% – dzięki trwającym właśnie pracom projektu Araucaria nad poprawieniem używanych obecnie zależności do wyznaczania rozmiarów kątowych gwiazd.



BRAMKI SĄ DWIE

Piłka nożna to nie tylko rywalizacja na boisku i emocje kibiców. Na wsi amatorskie kluby sportowe mogą stać się motorem rozwoju społeczności lokalnej. Do takiego wniosku doszedł doktorant z WFiS, Konrad Burdyka, stypendysta drugiej edycji konkursu „Doktoraty dla Mazowsza”.

OBYWATEL KIBIC

Jak przyznaje sam Burdyka, temat amatorskich klubów sportowych i ich działalności w środowiskach wiejskich jest trochę „egzotyczny” w naukach społecznych. Jakie problemy mają społeczności lokalne? Przede wszystkim niski poziom obywatelskości oraz tak samo niewysoki kapitał ludzki. – Młodzi mieszkańcy wsi w ostatnich latach kształcą się i to bardzo intensywnie. Natomiast pokolenie trochę starsze pozostaje w tyle. Ci wykształceni raczej nie wracają już do swojej lokalnej społeczności i nie wykorzystują zdobytej wiedzy do rozwoju swoich miejscowości – mówi doktorant.

I co to ma wspólnego ze sportem? – Jeżeli na obszarach wiejskich działają pozarządowe organizacje formalne, to nie licząc ochotniczych

straży pożarnych, są to w szczególności instytucje sportowe – wyjaśnia. Kluby są mocno zakorzenione w społecznościach lokalnych. Angażują w swoje działania ludzi młodych, którzy stają się, jak to nazywa Burdyka, *apostołami innowacji*. Często to właśnie oni prowadzą strony internetowe klubów piłkarskich, popularyzując internet w swojej miejscowości. Przez uczestnictwo w klubie młodzież rozwija pozasportowe zainteresowania.

– Innowacje społeczne, które mogą być realizowane poprzez organizacje sportowe służą przede wszystkim niwelowaniu problemów społecznych, jakie obserwujemy, oraz zaspokajaniu nowych potrzeb, jakie w społecznościach lokalnych się pojawiają – wyjaśnia socjolog. Na te potrzeby mogliby odpowiedzieć przedsiębiorcy, którzy jak na razie mało interesują się działalnością lokalną. Jeśli finansują kluby sportowe, to raczej na poziomie ogólnopolskim.

PIN W PALCU

„Doktoraty dla Mazowsza” prowadzi Centrum Otwartej i Multimedialnej Edukacji UW. To konkurs, dzięki któremu najlepsi młodzi naukowcy

z Uniwersytetu mają szansę otrzymać roczne stypendium w wysokości 3 tys. zł miesięcznie. Wsparcie finansowe zapewnia Unia Europejska. W drugiej edycji nagrodzono 25 doktorantów.

Magdalena Tomaszewska z WPIA zajmuje się kwestiami prawnymi związanymi z biometrią. Zabezpieczeń biometrycznych używa się obecnie nie tylko w paszportach, ale coraz częściej w sektorze prywatnym. Żeby zweryfikować tożsamość, banki porównują układ naczyń krwionośnych palca. Weryfikacja odbywa się np. podczas wpisywania w bankomacie kodu PIN. To dość duża wygoda, bo linii papilarnych czy układu naczyń zapamiętać się nie da, a z PIN-em bywa różnie. Technologia biometryczna wzbudza jednak kontrowersje etyczne i prawne. – Dzięki analizie obecnej sytuacji można będzie stworzyć

propozycję systemu ram prawnych pozwalających na zachowanie równowagi pomiędzy podnoszeniem poziomu bezpieczeństwa a ochroną praw jednostki – mówi laureatka.

Bogna Kietlińska z WSNSiR niebawem będzie miała gotową receptę m.in. dla warszawskich deweloperów. Na podstawie jej badań, dotyczących zmysłowego postrzegania miasta będzie można powiedzieć, czy w danej lokalizacji sprawdzi się działalność biznesowa.

– Te przykłady pokazują, że nie ma sprzeczności między rozwijaniem nauki a zastosowaniem jej w życiu codziennym. To oczywiste, że na pewnym poziomie nie da się przecież prowadzić żadnej działalności gospodarczej bez osiągnięć nauki i edukacji – podsumowuje prof. Marcin Pałys, rektor UW.

WSPÓŁGRA Z CIAŁEM

Zbadanie skuteczności połączenia ćwiczeń poznawczych i nad równowagą ciała, w formie komputerowych gier i zadań, to cel projektu, prowadzonego przez Mateusza Kruszyńskiego z Wydziału Psychologii, laureata X edycji programu Ventures FNP. Młody badacz otrzymał grant w wysokości ponad 90 tys. zł, dzięki któremu zrealizuje projekt „DynamicCognition – innowacyjny komputerowy trening funkcji poznawczych z wykorzystaniem wzrokowego sprzężenia zwrotnego oraz interfejsu sterowanego równowagą ciała – badania typu *proof of concept*”.

– Projekt ten ma doprowadzić do powstania nowatorskich produktów wspomagających terapię zaburzeń poznawczych i motorycznych w

przebiegu chorób oraz starzenia się. Osłabienie uwagi, pamięci, szybkości przetwarzania informacji powodują, że pacjent traci zdolność do samodzielnego i „pełnego” życia. Jest to wielki problem i wielkie wyzwanie dla innowatorów technologicznych. – Mój projekt łączy sprawdzone metody rehabilitacji ruchowej i poznawczej, motywującą formę gier oraz tanie i łatwo dostępne urządzenia, pozwalające pacjentowi na wchodzenie w interakcję z zadaniem w niespotykanej dotychczas formie – wyjaśnia Mateusz Kruszyński.

W tej edycji Ventures nagrodzono siedmioro doktorantów, absolwentów i studentów z całej Polski. Program istnieje od 2007 roku i jest finansowany ze środków UE.

WALKA NA SŁOWA

O zawiłych sprawach najlepiej mówić prosto. Wiedzą o tym uczestnicy konkursu FameLab, którzy mają tylko trzy minuty na zaprezentowanie swoich badań. W konkursie na słowa mierzą się przedstawiciele nauk ścisłych, przyrodniczych, medycznych, rolniczych i technicznych. W finale, który odbędzie się 11 maja w Centrum Nauki Kopernik, zaprezentuje się 10 naukowców. Wśród nich trzech z UW.

Podczas półfinału Artur Franczuk z Wydziału

Biologii wcielił się w skaczącą bakterię; Magdalena Jagielska, doktorantka z Instytutu Studiów Społecznych przekonywała, że jedzenie czekolady jest lepszym pomysłem na dietę niż jedzenie produktów *light*; a Maciej Jasiński, doktorant z MISMaP, opowiadał o tym, jak cząsteczki wody podpierają ściany na dyskotecę.

Zwycięzca będzie reprezentował Polskę podczas międzynarodowego finału w Cheltenham w Wielkiej Brytanii.

- **Prof. Joanna Pinińska** z Wydziału Geologii została wybrana do rady doradczej ds. nauki i technologii, powołanej przez przewodniczącego Komisji Europejskiej. 15-osobowa grupa niezależnych ekspertów ma zapewnić naukowe wsparcie podczas podejmowania politycznych decyzji w Unii.
- **Dr Sylwia Urbańska** z Instytutu Socjologii została laureatką programu Monografie Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Fundacja nagrodziła badaczkę za książkę *Przemiany macierzyństwa w procesie globalnych migracji kobiet*. Publikacja ta jest pracą doktorską socjolożki, którą obroniła w 2011 r. W 2012 r. za tę pracę otrzymała nagrodę Prezesa Rady Ministrów.

NAUKA MYŚLENIA

OLGA BASIK

Okazuje się, że dla studentów umiejętności praktyczne są ważniejsze od wiedzy teoretycznej. Czy rzeczywiście uniwersytety są miejscem, gdzie powinni je zdobywać? Czy studia powinny być przygotowaniem do życia w firmie, czy raczej szkołą samorozwoju?

Podczas debaty *Czy polska nauka idzie w las?* o kondycji polskiej edukacji oraz możliwościach współpracy z biznesem na UW rozmawiało 12 ekspertów: przedstawiciele uczelni, ośrodków naukowych i przedsiębiorstw.

RÓWNAJ DO ŚREDNIEGO

Jednym z problemów, z którym muszą zmierzyć się szkoły wyższe jest masowość kształcenia.

Prof. Krzysztof Dołowy ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego przyczyn tego zjawiska upatruje w roku 1989, kiedy dostęp do szkolnictwa wyższego stał się powszechny. – Wtedy zaczęto płacić od głowy. W związku z tym uczelnie zaczęły przyjmować niemal wszystkich – mówił. – Nie przewidzieliśmy tego, że system realizujący marzenia ludzi o dostępie do powszechnej edukacji doprowadzi do jego demoralizacji – przyznawali inni.

Obecnie w Polsce studiuje ponad 1,7 mln osób. Coraz więcej z nich, podejmuje studia przede wszystkim dla zdobycia dyplomu, a nie wiedzy. Tak wynika z badania, które przeprowadzili studenci z Koła Naukowego Psychologii Ekonomicznej „Moderator”, działającego na UW. Przebadano 400 osób z całej Polski, uczących się na różnych kierunkach i uczelniach o różnych profilach. Choć masowość ma wielu przeciwników, niektórzy zauważają w niej pewne plusy. – W 1996 roku 46 proc. społeczeństwa to byli analfabeci funkcjonalni, a kolejne 20 proc. to półanalfabeci. Dzięki masowemu kształceniu ta sytuacja zasadniczo się zmieniła – zauważył prof. Marek Chmielewski, wiceprezes Polskiej Akademii Nauk.

Być może rozwiązaniem byłoby wprowadzenie elitarnych kierunków na masowych uniwersytetach lub tak, jak w Stanach Zjednoczonych, traktowanie magisterium jedynie jako „nieudanego” doktoratu.

NIE DA SIĘ „UNLIKOWAĆ” ŚNIEGU

Z badania wynika też, że studenci wysoko oceniają wiedzę teoretyczną przekazywaną na ich uczelniach, problemem jest natomiast niezadowalający ich zdaniem poziom zajęć praktycznych, które jednocześnie uznają za najbardziej potrzebne. – Obecna reforma systemu edukacji polega na „laptopizacji” i „e-oobookowaniu” kraju. W pracowni nie da się nauczyć praktycznego zastosowania w systemie *I like it or unlike*

it. To tak jak z odśnieżaniem ulic. Nie można „unlikować” śniegu, trzeba go zebrać – wyjaśniał prof. Łukasz Turski, przewodniczący rady programowej Centrum Nauki Kopernik.

Praktyka jest potrzebna, ale czy właśnie jej powinien uczyć Uniwersytet? – My kształcimy ludzi, którzy potrafią myśleć i to jest nasze główne zadanie. Oferujemy na Uniwersytecie ćwiczenie różnych mięśni myślowych w zależności od tego, kto z czego jest dobry. To jest rzecz, która bez względu na to z jakim sektorem będziemy mieć do czynienia, będzie w życiu potrzebna – mówił prof. Konrad Banaszek z Wydziału Fizyki UW. Z pewnymi umiejętnościami absolwenci powinni przecież poradzić sobie sami. – Przeczytałem niedawno, że pewna absolwentka skarżyła się na to, że na studiach nie nauczono jej obsługi faksu. Na pierwszych zajęciach po nowym roku powiedziałem: „Proszę państwa na moich zajęciach nie nauczycie się obsługi faksu”. Na szczęście nikt nie wyszedł. Mam nadzieję, że moi studenci mają większe oczekiwania.

Niezależnie od tego jakie mają wymagania w trakcie nauki, to po jej zakończeniu aż dwie trzecie absolwentów chciałoby założyć własną firmę. Jednym z podstawowych problemów są jednak fundusze. Brakuje odwagi tym, którzy pieniądze dać mogą i tym, którzy pieniądze mogliby wziąć. Kłopot z ich pozyskaniem mają również naukowcy. – Jak potrzebuję kupić drobną rzecz do laboratorium, to muszę przeдрzeć się przez jakąś maszynę przetargową. Nawet nie mogę poprosić dziekana o zakup zasilacza, bo on nie może być kupiony z pieniędzy „czerwonych” – tych dydaktycznych, tylko „niebieskich” na zasilacze. Traktowani jesteśmy jak jacyś aferzyści, którzy nie wiadomo, jak te pieniądze wydadzą – mówił dr Jacek Szczytko z Wydziału Fizyki UW.

Pomysł na działalność gospodarczą miał przedstawiciel CNK. – Gdybym miał 25 lat i był inżynierem elektroniki, to po drodze do Kajetanów, gdzie prof. Henryk Skarżyński wszczepia implanty słuchowe, próbowałbym zbudować fabrykę, produkującą lepsze implanty. Mogłbym co godzinę konsultować moje pomysły z prof. Skarżyńskim. Dlaczego takie rzeczy się u nas nie dzieją? Bo cały system edukacji nie wykształcił w młodych ludziach, tego, że nie im się od państwa nie należy, bo to oni sami mają zadbać o swoje pomysły – mówił.

■ Debata to część projektu Polskie Puzzle. Spotkanie zorganizowali wspólnie Uniwersytet Warszawski oraz Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego „Teraz Polska”.

FILM ANTROPOLOGICZNY

MEDIUM NIEOSWOJONE?

Film antropologiczny ma już ponad sto lat. Zwyczajowo łączy się go z pierwszą rejestracją Félixa-Louisa Regnaulta, sporządzoną w trakcie wystawy *Ethnographique de l'Afrique Occidentale* w 1895 roku. Ukazuje ona kobietę Wolow, lepiącą garnek. Z dzisiejszego punktu widzenia owe początki być może równie zasadnie można by łączyć z jednym z pierwszych dokumentalnych zapisów braci Lumière, pokazujących robotników, którzy wychodzą z fabryki. To tak wyglądali robotnicy w końcu XIX wieku? Dziś antropologia nie zajmuje się już „egzotyką”, a tematy dla swoich frapujących eksploracji czasem znajduje za rogiem własnej ulicy. Ba, pojawiły się nawet takie terminy jak auto-antropologia. A co więcej – ciekawe tego realizacje.

Te proste przywołania nie oddają dość złożonej historii filmu antropologicznego, który rodził się powoli i napotykał różne problemy związane z próbami zdefiniowania i klasyfikacji. Bywał też przestrzenią sporów. Kiedy w istocie się zrodził? Wraz z pierwszymi zapisami uznanymi za etnograficzne? Czy może wraz z pojawieniem się *Nanooka z Północy* (1922) Roberta Flaherty'ego – jak powiedzieliby zapewne Jean Rouch i Jay Ruby? A może dopiero wówczas, gdy zaczęto o filmie etnograficznym poważniej pisać? Czy może wówczas, gdy zaraz po drugiej wojnie André Leroi-Gourahan powołał kursy, by go nauczać? Można by zapewne bez trudu przywołać jeszcze kilka znaczących początków. Rouch uznał Flaherty'ego za swego prekursora, z uwagi na to, iż niewątpliwie możemy przyjąć, że film amerykańskiego dokumentalisty powstał w bliskiej współpracy z Inuitami, których dotyczył. Filmowi temu zarzucono (częściowo zasadnie), że wykorzystuje różne chwytły fabularyzujące: zmieniono imię głównego bohatera, „skompletowano” mu rodzinę. Zarzucono mu też ahistoryzm. Jednocześnie zwrócono jednak uwagę na to, że to sami Inuici sugerowali Flaherty'emu niektóre z podjętych w nim tematów, a sceny z ich życia nie zostały „uspójnione” narzuconą przez filmowca fikcyjną fabułą.

RYGOR WIĘKSZEJ SIOSTRY

Tą drogą poszedł jeszcze dalej Jean Rouch (1917–2004) – postać, bez której trudno byłoby myśleć o dzisiejszym kinie antropologicznym. Poza bardziej konwencjonalnymi filmami, stworzył on

tw. „etnofikcje”. Opierały się one w znacznym stopniu na fabułach odgrywanych i wymyślonych przez jego przyjaciół Afrykanów. Afrykanie nie byli już „przedmiotem badań”: stali się współmówcami, współkreującymi własny wizerunek. Takie pojmowanie podmiotowości i sprawczości „Innych” w latach 50. XX w. było ewenementem i posunięciem absolutnie prekursorskim. To przecież znacznie później, nie tylko zresztą w etnologii, zrodził się silny nurt krytyczny podkreślający, że władzę spojrzenia, tworzenia wizerunku „Innego” (dawniej mówiono częściej „Obcego”, co nie jest neutralne) można również uznać za synonim panowania, a tym samym poniekąd – za przedłużenie kolonializmu (warto tu pamiętać o Michelu Foucaulcie).

Rouch jest postacią osobną w kinie antropologicznym. Inny nurt tego kina łączy się z filmem obserwacyjnym, kojarzonym w znacznym stopniu m.in. z Davidem i Judith MacDougallami. Zrodził się on w latach 60. w Stanach Zjednoczonych. Mimo odmiennych założeń i pomysłów leżących u podstaw tej nowej koncepcji filmowej, w tym przypadku również od samego początku pojawiło się zrozumienie, że czym innym jest „mówienie o”, a czym innym pozwolenie na to, aby to owi inni mówili za siebie; to szczególne „dopuszczenie do głosu” tych, którym głosu i podmiotowości odmawiano. Wypada podkreślić, że medium filmu – obraz – niesie większą potencję demokratyzacji przesłania. (Nie jest to absolutnie równoznaczne z twierdzeniem, że obrazy mają znaczenie uniwersalne).

Szczególnie w latach 70. próbowano antropologię wizualną podporządkować słownej. Miała być ona poddana rygorom większej (bo niekoniecznie starszej) siostry. Dziś wydaje się, że przynajmniej czasem antropologia wizualna odgrywa rolę *l'enfant terrible*, które nie podporządkowało się całkowicie regułom narzucanym przez rodzeństwo (piszącą większość), chcące film sprowadzić do roli pomocnego wiernego rejestratora. Jak przystało na niesforne dziecko, film znalazł dla siebie osobny plac zabaw i wybryków. Tą przestrzenią są m.in. festiwale, coraz liczniejsze zarówno na świecie, jak i w Polsce, które coraz śmielej dopuszczają różnorodność podejmowanych tematów i form filmowych.

Dr Sławomir Sikora zajmuje się antropologią wizualną w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej. Ostatnio opublikował *Film i paradoksy wizualności. Praktykowanie antropologii* (2012).

OCZY I OBIEKTYWY

Od dziesięciu już lat studenci Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UW, mimo bardzo skromnego budżetu, organizują festiwal *Oczy i Obiektywy*. Pierwszy poświęcony był w znacznej mierze filmom polskim, m.in. tworzonym przez nieżyjących już etnografów Jacka Olędzkiego i Piotra Szackiego. *Spiritus movens* owego pierwszego przeglądu (Pałac Kazimierzowski, 2004) był sam Piotr Szacki, świetnie komentujący często pozbawione dźwięku polskie filmy sprzed lat. Kolejne edycje festiwalu odbywały się już najczęściej w Państwowym Muzeum Etnograficznym, a zdecydowana większość filmów pochodziła z zagranicy. Bywali też ciekawi goście wraz ze swymi studentami (np. Barbara Keifenheim z Uniwersytetu Europejskiego Viadrina).

Jednym z mocnych punktów tegorocznego programu ma być film *Savage Memory* Zachary'ego Stuarta i Kelly Thomson (2011). Zacharyasz Stuart jest praprawnukiem Bronisława Malinowskiego, wielkiego antropologa, jednego z nie/kwestionowanych filarów dyscypliny. To Malinowskiemu przede wszystkim przypisuje się radykalne zmiany w myśleniu o badaniach terenowych, które w istotny sposób stale przyczyniają się do sposobu, w jaki definiuje się dyscyplinę. Słowo „niekwestionowanych” jest tyleż niepodważalne, co budzące wątpliwości. Mam tu przede wszystkim na myśli reperkusje wywołane opublikowaniem po przedwczesnej śmierci antropologa (1942) nieprzeznaczonego do druku dziennika terenowego (*Dziennik w ścisłym znaczeniu tego wyrazu* 1967 / 2008). Podobnie w pamięci rodzinnej antropolog pozostał postacią mocno ambiwalentną i enigmatyczną. Mówiło się nawet o kłątwie Malinowskiego (*Malinowski's curse*). Sam film jest w istocie opowieścią o „poszukiwaniu przodka”, szczególnego rodzaju podróżą osobistą, ale zdecydowanie nie tylko. Ciekawie brzmi sam tytuł, który można rozumieć różnorodnie. Jako odniesienie do *oeuvre célèbre* Claude'a Lévi-Straussa *La Pensée sauvage* (1962), tak niejednoznacznie, ale też tak proroczo – z uwagi na późniejsze kontek-

sty słowa: – przetłumaczonego przez Andrzeja Zajączkowskiego jako *Myśl nieoswojona* (1969). Pamięć nieoswojona... przeszłość to inny kraj.

Cokolwiek więcej można by powiedzieć o tych rodzinnych poszukiwaniach tożsamości – dziś coraz lepiej zdajemy sobie sprawę z tego, że nasze korzenie były często na różny sposób poplątane – dla mnie ten film przede wszystkim w intrygujący sposób dotyka antropologii i jej historii. Mówi też wiele na temat jej dzisiejszej kondycji. Podążając tropami przodka, Stuart m.in. odwiedza Wyspy Trobrianda, gdzie Malinowski prowadził swoje paradygmatyczne badania. Poza jednym starcem, który – jak twierdzi – pamięta antropologa (czy możliwe jest, aby miał już blisko 100 lat?), wypowiada się kilku Trobriandczyków, dla których Malinowski jest już tylko częścią historii. Przytoczę uwagę Numakhala Khoubuli, ponieważ wydaje mi się bardzo znacząca ze względu na swoją wewnętrzną dialogiczność: „słowo dziki (*savage*) nieco mnie wkurzyło (chodzi o tytuł książki *Życie seksualne dzikich*). Ale kiedy ją przeczytałem, pojąłem, że nie mówił on do nas. Mówił do kogoś innego, może kogoś ze świata zachodniego. (...) Pomyślałem, że być może stara się on przekonać tych na Zachodzie, że tak naprawdę wcale nie jesteśmy dzicy”.

Minęło niespełna sto lat i ówczesne deskrytywno-klasyfikacyjne słowo „dziki”, „dzikus” stało się nieakceptowalne i „tu”, i „tam”. Ale jednocześnie w wypowiedzi Khoubuli zarysowuje się „pozytywna strona”, reewaluacja, pokazująca, że w pracy etnologa można wyczytać komunikat skierowany do własnej (zachodniej) społeczności, że owi „badani” (to także dziś nieneutralne słowo) zawsze byli „kulturalni”. Antropolog Robert Welsch powiada w filmie, że Malinowski należał zapewne do pierwszych antropologów, którzy to w pełni zrozumieli. Także inni rozmówcy trobriandzcy wskazują na fakt, że książki antropologa dostarczają ciekawej wiedzy dotyczącej ich własnej przeszłości. To istotna konkluzja.

10. edycja przeglądu filmów
etnograficznych
Oczy i obiektywy, który
organizują studenci IEiAK,
odbędzie się w dniach 5-7
kwietnia w Państwowym
Muzeum Etnograficznym.

Więcej informacji:
www.oczyiobiektywy.art.pl



Numakhala Khoubuli, kadr z filmu *Savage Memory* Zachary'ego Stuarta i Kelly Thomson (2011).

PODOLSKA ATHOS

Przenieśmy się na daleki, południowo-wschodni kraniec Podpoła, niedaleko Mohylewa Podolskiego, gdzie szeroko rozlane wody leniwie płynącego Dniestru oddzielają Ukrainę od Mołdawii. Dniestr jest tu też granicą dwóch krajobrazów: rozciągniętej po horyzont równiny od południa i górzystych, poprzeczanych malowniczymi wąwozami terenów po północnej, ukraińskiej stronie rzeki. Jednym z takich wąwozów, płynie inna rzeka – Ladawa. Uchodzi do Dniestru nieopodal miejsca, gdzie granica mołdawska gwałtownie się od niego oddala. U ujścia Ladawy, rozłożyła się mała rybacka osada i przyjęła jej nazwę. Jest to miejsce trochę zapomniane, trudno dostępne. Najbliższe duże miasto to Mohylew, ale do Ladawy jest trudno trafić. Wiedzie tam tylko jedna droga.

Szlak prowadzi wierzchem płaskowyżu i dopiero przed samą wioską schodzi ku dolinie rzeki. Z tego miejsca na górze roztaczają się najwspanialsze widoki na dwa przełomy: Ladawy i Dniestru. Kierując się w stronę południową, docieramy do krawędzi urwiska, które opada w dolinę Dniestru niemal pionową, 90-metrową ścianą.

Tę dziką, malowniczą okolicę obrali sobie na miejsce kontemplacji mnisi bazylianie. Ich klasztor kryje się w zboczu owego urwiska, w miejscu odludnym i trudno dostępnym, w oddaleniu od osady. Z dołu, od podnóża góry, wiedzie do monastynu wąska, kręta droga, kończąca się na niewielkim tarasie skalnym. Jest on jednocześnie dziedzińcem klasztornym, z którego wchodzi się do niezwykłych cerkwi, częściowo wykutych w skale, częściowo umieszczonych w naturalnych pieczarach.

PUSTELNICZE ŻYCIE

Szczególna jest historia tego osobliwego monastynu. W XI wieku Dniestr stanowił jeden z najdogodniejszych, a równocześnie najmniej bezpiecznych szlaków komunikacyjnych i handlowych ze Skandynawii i Ziemi Halickiej do Imperium Bizantyńskiego. Tradycja głosi, że w tym miejscu, w drodze ze Świętej Góry Athos do Kijowa, w 1013 roku zatrzymał się mnich Antoni, zwany Pieczerskim, późniejszy święty. Zamieszkał na pewien czas w pieczarze w zboczu góry, wznoszącej się nad wodami Dniestru i wiódł życie pustelnicze. Wkrótce w grotach powstał niewielki erem, w którym przebywało kilku braci. Około roku

1050 zakonnik udał się w dalszą wędrówkę, do Kijowa, gdzie w tamtejszych pieczarach, ustanowił, wraz z 12 uczniami, nowe zgromadzenie. Założony przez niego klasztor dał początek słynnej Ławrze Kijowsko-Pieczerskiej, najwspanialszemu dziś monastyrowi Ukrainy.

Tymczasem Ladawski monastyr rozbudowywał się powoli, w miarę jak przybywało zakonników. W XII wieku w pieczarach urządzono świątynie, w skale wykuto cele klasztorne, refektarz i katakumby na potrzeby pochówków. Surowe skalne pieczary otrzymały godny wystrój. Mały skalny monastyr w Ladawie był już wówczas z racji swego odosobnienia, postrzegany jako podolski odpowiednik Świętej Góry Athos. Dzięki hojności pielgrzymów, zarówno prawosławnych, jak i greckokatolickich, w świątyniach przybywało cennego wyposażenia: ikon, naczyń liturgicznych, relikwiarzy, innych przedmiotów. Świadczą o tym dokumenty kolejnych wizytacji, szczególnie tej przeprowadzonej z polecenia biskupa Lwowskiego, Halickiego i Kamienieckiego, Piotra Bielańskiego w 1782 roku. O klasztor dbali też właściciele Ladawy. Około 1814 roku wieś należała do hrabiów Dzieduszyckich, potem do Barszczewskich i Sulacickich.

Mnisi, zajęci kontemplacją, modlitwami i codzienną krzątaniem, nie zaniebdywali spraw ważnych dla kraju i np. w kwietniu 1649 roku posłowali w imieniu hetmana Chmielnickiego do cara Aleksieja I Michajłowicza. A kiedy miesiąc później wracali wraz z kozakami z Moskwy, towarzyszył im sam patriarcha świętej Góry Athos, który po drodze do Jerozolimy zapragnął zobaczyć tę „Podolską Athos” za jaką uchodziła Ladawa. W XIX wieku monastyr, poza funkcjami liturgicznymi, pełnił też rolę placówki edukacyjnej. Mieściły się tu dwie szkoły dla dzieci chłopskich: jedna dla chłopców, druga, z innym programem, dla dziewczynek. W odróżnieniu od Góry Athos, Ladawę mogły nawiedzać również kobiety.

Do dziś z dawnego wyposażenia klasztoru niemal nic nie zostało. W czasach władzy sowieckiej rozgrabiono sprzęty, próbowano też zburzyć sam monastyr. W pieczarach rozmieszczono ładunki wybuchowe: główna cerkiew została poważnie uszkodzona, refektarz i cele mnichów przestały istnieć. Na szczęście nie wszystko udało się zniszczyć. Dziś mnisi z trudem przywracają świetność temu niezwykłemu miejscu.

CELA ŚW. ANTONIEGO

Monastyr nosi wezwanie Ścięcia Głowy św. Jana Chrzciciela. Cerkiew pod tym samym wezwaniem, usytuowana na północnym krańcu skalnego tarasu, była najważniejsza w całym kompleksie klasztornym. Zajmowała najobszerniejszą pieczarę, którą dodatkowo rozkuto, dla uzyskania większej przestrzeni i ustawienia dwupiętrowego ikonostasu (1793 r.). W 1848 roku do świątyni dostawiono kamienną fasadę z dzwonnica zwieńczoną baniastą kopułą. W cerkwi przechowywano cudami słynący wizerunek Głowy św. Jana, do którego pielgrzymowali zarówno wierni obrządku wschodniego, jak i katolicy. O dawnym wyglądzie i wyposażeniu świątyni wiemy jednak tylko ze starych, przedwojennych opisów i fotografii. Wybuch pozbawił ją fasady i części ścian. Zachowało się tylko puste, sklepione wnętrze, w którym w miejscu ołtarza został umieszczony charakterystyczny krzyż z kotwicą – symbol klasztoru. Przetrwał na szczęście zabytek niezwykły: skała, stanowiąca północną, zewnętrzną ścianę cerkwi Ścięcia św. Jana. Jest ona w całości pokryta rytami napisami w różnych językach, datami oraz licznymi wyobrażeniami emblematycznymi, wykonanymi przez mnichów i pielgrzymów. Byli wśród nich też Polacy, np. 23 sierpnia 1823 roku uwiecznił swój pobyt w Ładawie jezuita, ksiądz Jakub Falkowski, szczegółowo wypisując w skale, jakie to osobliwości tu oglądał. Napisy powstawały w różnym czasie (można wypatrzeć datę 1696 r.), zachodzą one na siebie, zacierają się, miękka skała wietrzeje. Jest to jednak ciągle swego rodzaju latopis klasztorny, zachowany do naszych dni.

Z tyłu za cerkwią Ścięcia wąskie wejście prowadzi do katakumb. We wnętrzu pieczary oświetlonej żółtymi płomykami świec, są widoczne wykute w ścianie liczne wnęki na pochówki. Tradycja nakazywała kłaść na brzegu wnęki czaszkę.

Drugą świątynią, która podzieliła los poprzedniej i zachowała się w stanie szczątkowym, jest cerkiew św. Paraskewii Męczennicy. Z cerkwią Ścięcia łączy ją wyciosane w skale przejście. We wnętrzu pieczary znajdował się oryginalny kamienny klasycystyczny ikonostas, którego fragmenty w postaci kolumn i resztek gzymsu możemy jeszcze oglądać. W półkolistej, skalnej absydzie zaaranżowano dziś prowizoryczny ołtarz.

W południowej części wąskiego klasztornego dziedzińca można obejrzeć pamiątki związane z najstarszymi dziejami tego miejsca. Znajduje się tu cela św. Antoniego – małe, oświetlone jednym oknem pomieszczenie z kamienną ławą, służącą niegdyś za łóżce. To w tej pieczarze, według tradycji, zamieszkał święty w pierwszych latach XI w., dając początek zgromadzeniu zakonnemu. Dziś w tej ascetycznej surowej izdebce umieszczono dwie stare ikony. Nadają one temu miejscu klimat, ale jednocześnie niszczą od wilgoci.

PAPIEROWE REPRODUKCJE

Pieczara św. Antoniego łączy się skalnym korytarzykiem z cerkwią noszącą wezwanie tego pustelnika. Według tradycji pod względem rozmiarów ma być ona identyczna ze świątynią na górze Athos, z którą św. Antoni związał początki swego monastycznego życia. Długie, tunelowe wnętrze, sklepione półkole, tonie w półmroku. Oświetlają je jedynie dwa małe okienka umieszczone w zamykającej pieczarę ścianie wejściowej. Podobnie jak w pozostałych świątyniach monastynu, również tu nie ma pierwotnego wyposażenia. Większość ikon stanowią papierowe, drukowane reprodukcje. Kilka oryginalnych obrazów to dary, które trafiły tu z pielgrzymkami parafialnymi. Ikonostas jest złożony z elementów różnego pochodzenia, niepasujących do siebie. W całym prymitywizmie tego wyposażenia jest jednak pewien klimat, panuje szczególny nastrój.

Zwiedzając klasztor, nietrudno zauważyć, jak ogromny wysiłek ponoszą współcześni mieszkańcy, nieliczni bracia, by zapewnić jego funkcjonowanie. Cerkiew św. Antoniego jest już czynna. Opodał wzniesiono od nowa cerkiew Matki Bożej. Trwają prace przy odbudowie cerkwi Ścięcia. Udało się też odnowić dojścia do niektórych cel, wykutych wysoko w niedostępnych skałach, umożliwiono oglądanie katakumb. Ważnym osiągnięciem było oczyszczenie i uzdatnienie źródeł, których woda od wieków słynie ze swych właściwości leczniczych: jedno z nich znajduje się po południowej stronie monastynu, już na płaskowyżu, dwa zaś poniżej tarasu.

Zrujnowany przez Sowietów monastyr, którego historia od czasu założenia przez mnicha Antoniego z Athos, liczy równe tysiąc lat, powoli wraca do życia. Pytanie, czy uda się temu miejscu odzyskać dawną świetność? Czy znowu Ładawa zaistnieje jako „Podolska Święta Góra Athos”?



▲ Cela św. Antoniego Pieczerskiego, fot. E. Korpysz.

▼ Cerkiew św. Paraskewii Męczennicy, fot. E. Korpysz.



TEŻ CZŁOWIEK

Prof. Wojciech Bał, dr Ewa Kurowska i dr hab. Izabela Wagner zabrali głos w sprawie mobilności naukowców:

Mówi się wiele o konieczności zwiększenia geograficznej mobilności polskich naukowców. Nie widzimy jednak, by były prowadzone prace nad przygotowaniem strategii, pozwalającej ową mobilność realnie zwiększyć. I jakim celom nadzrędnym ma służyć mobilność? Czy np. miałyby stać się sposobem wspierania słabszych ośrodków i umożliwienia im podnoszenia poziomu dydaktyki i badań? Czy elementem samodoskonalenia pracownika nauki, wymiany myśli? Czy też mobilność jest po prostu hasłem, zaczerpniętym z systemów nauki funkcjonujących w krajach bardziej rozwiniętych i bogatszych, gdzie zresztą stało się ono już dawno przedmiotem krytyki?

Naukowcy boją się owej mobilności nie z lenistwa czy ze złej woli, ale z braku jasnej informacji, w jaki sposób i po co rzeczona mobilność ma być realizowana. Wiąże się z tym kwestia tzw. *life/work balance*. W dzisiejszym modelu kariery naukowej nikt nie zadaje pytania o jakość życia prywatnego badaczy. O to, czy naukowcy mają choćby warunki ku temu, aby w obliczu wymuszonej mobilności zakładać rodziny. A naukowiec – wbrew pozorom – też jest człowiekiem.

Sieroca dola doktoranta,
„Gazeta Wyborcza”,
28 lutego 2013

CENTRALNE PLANOWANIE ABSOLWENTÓW

Prof. Mirosław Karwat

z Instytutu Nauk Politycznych UW napisał:

Fabrykę samochodów i salon sprzedaży samochodów rozlicza się z tego, ile wozów swojej marki zdołały upchnąć na trudnym rynku. Tak samo ma być teraz z uczelniami.

Szczytem pomysłowości, propagandowym szlagierem na tym froncie walki o jakość kształcenia w szkołach wyższych jest idea, że sprawdzianem wartości i społecznej przydatności uniwersytetów, politechnik, akademii takich-siaki-owakich ma być to, jaki procent ich absolwentów znajduje pracę, zwłaszcza w „wyuczonym zawodzie”. Bo też każda z nich ma być polskim Harvardem, po którym, jak wiadomo, nie ma bezrobotnych. A śmiertelnie ciosiem wobec takiego czy innego kierunku studiów jest zarzut, że tam uczyć nie wiadomo czego, bo nie uczyć konkretnego zawodu. Polskie uczelnie mają być Harvardami... z polskim marnym groszem, tzn. z niskimi nakładami na uczelnie, niskimi wynagrodzeniami wykładowców (...), za to z wysokim pensum i tłumnymi grupami na zajęciach. I pod hasłem równania do Oxfordów, Cambridge'ów i Harvardów wytrwale, natrętnie przekształcane są w wyższe szkoły zawodowe, w magazyn kursów i certyfikatów. A przy tam taka ich reorientacja ma jakoby zagwarantować ich absolwentom pracę.

Coś tu się pomyliło dzisiejszym decydentom: zabląkała się do ich głów praktyka z epoki ścisłego centralnego planowania i sterowania, kiedy to reszce absolwentów zagospodarowywano przez obowiązkowe, a zarazem prawnie skuteczne skierowania do pracy. Ale to nie przeszkadza im co chwila głosić pochwałę samoregulacyjnego rynku.

Niech uczelnie tłumaczą się, dlaczego ich absolwenci nie znajdują pracy i nie dziwią się, że brakuje dla nich środków; państwa przecież nie stać na wydatki na „fabryki bezrobotnych”. Zmuszane wyliczeniami, ilu absolwentów i z jakich kierunków znalazło lub nie znalazło pracę, niech same redukują nabór lub zamykają studia na kierunkach rzekomo skazujących na bezrobocie. I niech na własne ryzyko przedstawiają się na zgodność profilu kształcenia z rynkowym popytem, a właściwie na zgodność swojej oferty z propagandowymi mitami i stereotypami zapotrzebowania na określone zawody i praktycznej użyteczności studiów.

(...) Pułapka zastawiana na opinię publiczną, media i na parlamentarzystów bądź radnych sejmików jest bardzo sugestywna. Na pierwszy rzut oka to brzmi racjonalnie: nie będziemy łożyć na studia dla studiów, to straszny zbytek w tej sytuacji gospodarczej, te pieniądze dla uczelni nie mogą być zmarnowane. Rząd walczy więc jak lew o pracę dla absolwentów – ciekawe tylko, że nie na własnym polu (w polityce budżetowej, inwestycyjnej, podatkowej, w oddziaływaniach ekonomiczno-prawnych na pracodawców), ale na boisku uczelni zależnych od siebie i na konto tych uczelni.

(...) Przedstawiciele „pracodawców” (którzy nie dają pracy) nic nie kosztuje wypowiedzianie w różnych ankietach, w mediach i na posiedzeniach rozmaitych rad konsultacyjnych swoich opinii na temat kwalifikacji absolwentów uczelni jako kandydatów do pracy. Zwykle jest to kategoryczne stwierdzenie, że po tylu latach studiów, nawet z kilkoma dyplomami, nic nie umieją, żaden z nich pożytek, wszystkiego trzeba ich uczyć od zera, a na to nie ma czasu ani się to nie opłaca. Nic też ich nie kosztuje wygłaszanie stanowczych porad i życzeń, czego uczelnie powinny tych potencjalnych pracowników uczyć. Te życzenia jak dotąd mają być wiążące dla uczelni, a nie dla tych, którzy je wypowiadają bez żadnych zobowiązań.

Szkoły wyższe czy szkoły zawodu. Absolwent – kukulcze jajo, gorący kartofel?,
„Decydent”, styczeń 2013

O WIELOETATOWOŚCI

**W „Tygodniku Powszechnym”
o wieloletowości. Dr Michał Bilewicz
z Wydziału Psychologii napisał:**

Polskiej nauce potrzebny jest dziś kontrakt społeczny – taki pakt dla nauki, na wzór paktu dla kultury. Musi się on oprzeć na urealnieniu polskiej nauki: podwyżki pensji powinny pojawić się dopiero wtedy, gdy naukowcy zrezygnują z chałtur. Związani z jedną, macierzystą uczelnią, powinniśmy być rozliczani z jakości efektów naszej pracy i lojalności wobec zatrudniającej nas instytucji. Tylko wtedy mamy prawo żądać godziwego wynagrodzenia.

Wlewanie do dziurawego dzbanka nie ma sensu – może co najwyżej zwiększyć frustrację podatników.

*Nauki społeczne,
„Tygodnik Powszechny”, 6 stycznia 2013*

**W kolejnym numerze odpowiedziała
mu dr Justyna Melonowska z Akademii
Pedagogiki Specjalnej:**

(...) Każdy człowiek ma prawo do godziwego wynagrodzenia od chwili podjęcia pracy, a nie po tym dopiero, jak spełni szereg warunków. Godne wynagrodzenie jest prerekwizytem zaangażowania zawodowego, a nie odwrotnie. Tylko jeśli możemy komuś zaoferować godne warunki płacy – godne czyli odpowiadające jego rzeczywistym kwalifikacjom oraz umożliwiające utrzymanie się – możemy w ogóle zatrudniać. To podstawowa zasada wszelkiej etyki pracy.

*Racja bez ratio,
„Tygodnik Powszechny”, 20 stycznia 2013*

POPULARNOŚĆ MAŁYCH GRUP

**Tomasz Taylor z Northeastern University
w Bostonie napisał:**

Z polskiej perspektywy trudno zrozumieć, dlaczego zdolni licealiści marzą o dostaniu się do Amherst College, Wellesley College lub Swathmore College, o których nikt nie słyszał poza Stanami Zjednoczonymi. Te uczelnie nie mają nawet programów doktoranckich! Ponadto są nieprawdopodobnie drogie: strona internetowa Amherst College podaje w tym roku akademickim 63 259 dolarów jako „koszt uczęszczania”, czyli chesne, akademik etc. Co w zamian oferuje? Zajęcia w małych grupach, zwykle mniej niż 15 studentów w sali wykładowej, a więc bliski kontakt z nauczycielami akademickimi, którzy są całkowicie oddani pracy dydaktycznej. Intensywny program studiów zmusza studentów do stuprocentowego skupienia się na nauce.

*Prywatny czy państwowy? Amerykańskie
uniwersytety w skrócie,
„Pauza Akademicka”, 6 marca 2013*

NIEWAŻNE JAK, WAŻNE ŻE!

Ranking – to słowo, które ma jedynie siedem liter, a potrafi wywołać poruszenie. Z równie przesadną powagą traktują je politycy, dziennikarze, a czasem i naukowcy. Jak jeden mąż uwagę koncentrują wokół wyników, miejsc pierwszych, ostatnich oraz tych, które nie zostały zajęte. Niewielu zastanawia się nad tym, w jaki sposób materiały są zbierane, bo między ilością a jakością stawiany jest często w tym przypadku znak równości.

Ostatnio w jednym z zestawień awansowaliśmy o 113 oczek. Uniwersytet Warszawski zajął 234. miejsce na świecie i pierwsze w Polsce. Niektórzy uważają to za jeden z większych sukcesów, inni za miłą, acz mało znaczącą niespodziankę, są też tacy którzy nie widzą w tym nic szczególnego, a część krzywi się na widok miejsca w rankingu Webometrics.

Webometrics to hiszpański plebiscyt, który ukazuje się dwa razy w roku od 9 lat. Co mierzy? Przede wszystkim internetową aktywność uczelni. Nie chodzi tu o graficzne aspekty, a o widoczność uczelnianych stron, głównie tych dotyczących prac naukowych. Oceniane są w nim wszystkie instytucje, zajmujące się szkolnictwem wyższym, które prowadzą własną stronę internetową, nie tylko uniwersytety.

Tym razem wzięło w nim udział ponad 21 tysięcy instytucji. Najlepszy okazał się Uniwersytet Harvarda. Drugie miejsce zajął Uniwersytet Stanforda, a trzecie Massachusetts Institute of Technology.

Bywają jednak rankingi jeszcze bardziej zdumiewające. Jak choćby krajowy ranking, w którym mierzona jest „medialność” uczelni. UW zajął w nim 1. miejsce. Od 1 października 2011 do 30 września 2012 na temat uczelni pojawiło się ponad 44 tys. publikacji. To rzeczywiście rzecz miła, ale trzeba liczyć się też z tym, że ranking agencji „Press-Service Monitoring Mediów” nie uwzględniał jakości prezentowanych informacji, tylko ich ilość. Paradoksalnie najbardziej medialną mogłaby więc zostać szkoła, o której pojawiło się ponad 40 tys. negatywnych, bulwersujących i sensacyjnych wieści. Na szczęście o Uniwersytecie pisano raczej w neutralnym i pozytywnym tonie. Informowano o rekrutacji, wydarzeniach, które organizujemy, powstających budynkach, często przy artykułach zamieszczano komentarze naszych ekspertów. Dlatego z pierwszego miejsca wypada nam się cieszyć.

”

OLGA BASIK

WYNIKI



GIMNASTYKA

Latem wyniosło mnie w Łysogóry. Na straganach pod Łysicą czaiły się czarownice na miotłach, Harry Potter nie doleciał – wakacje. Zajrzeliśmy na pobliski św. Krzyż i tam – przygodny turysta – stanąłem oko w oko z historią.

Centralne sanktuarium nowej wiary na świętej górze pogan miało na wieki zatrzeć pamięć o bóstwach słowiańskich; pozostały jeszcze baśnie o stworach hulających wśród gołoborzy. Mury fundowane za Chrobrego, na eksponowanych do dziś kilku drzazgach sosny jerozolimskiej, przechowały wzruszające ślady historii tej ziemi.

„Czemu tu nie byłem?” – „Chodziłeś do marnej szkoły” z wyższością powiada żona, która Polskę poznawała na szkolnych wycieczkach. Nasze dzieci wożono już na zielone szkoły, nie liczne pamiątki historii pokazywaliśmy im sami. Jaką wiedzę odziedziczą wnuki, spędzające wakacje w Grecji? Na widok pięknie restaurowanego i pustego Szydłowa dziwujemy się oboje: „Znamy Carcassonne, a o tym miejscu nie słyszeliśmy”. I dwoje profesorów, spacerując po murach, prowadziło dysputę, przerywaną łykaniem szydłowskich śliwek.

– *Historia to najpowszechniej dostępna wiedza humanistyczna.*

– *Jaki z niej pożytek?*

– *<Magistra vitae!> Prezydent i premier kończyli historię.*

– *Wprowadzimy dla studentów historię? Jaką?*

– *Do wyboru, są niezliczone rodzaje historii.*

– *Kto miałby uczyć?*

– *Profesorów historii mamy dosyć!*

– *Mają ważniejsze zadania.*

– *Niech zarobią asystenci!*

– *Na byle co studenci nie przyjdą.*

– *Przedmiot obowiązkowy!*

– *Te czasy mamy za sobą.*

Czyżby? Odpoczywając pod sędziwym Bartkiem, wspomniałem wydziałową przygodę, gdy próbowano uwolnić naszych studentów od obowiązkowych zajęć z wychowania fizycznego. Przeciwnicy argumentowali, że wymaga ich przepis, którego wskazać nie umieli. Zagadnięty rektor nawet nie podjął dyskusji: „Chciałbyś, żeby nasze studium WF upadło?”. I obowiązek pozostał.

Rzut oka na uniwersyteckie www pokazał, że i dziś w uczelniach publicznych – tak, jak w mojej WF – jest po staremu obowiązkowy przez 4 seme-

stry i daje ECTS-y. Niepełnosprawni i zwolnieni przez lekarza też mają obowiązek. Biurokratyczna szczelność systemu i tęcząca oferta zajęć są na równi godne podziwu: piłka nożna, ręczna, siatkowa, wodna, aerobik po angielsku, pływanie, hi/low, judo, taniec towarzyski, step, lekka atletyka, body art, wioślarstwo, pilates, wspinaczka, krav maga, narciarstwo, taniec brzucha, patataj etc. Ludziom dorosłym, którzy przyszli studiować języki, astrofizykę lub prawo nakazujemy gimnastykowanie się pod nadzorem, niechby tylko przez towarzyski taniec. Dlaczegożby nie gimnastykować na siłę umysłu studiowaniem historii?

Owoce przymusowego gimnastykowania docenimy, pamiętając wstydliwie skromne wyniki olimpijskie, zepchnięte w cień przez błyskotliwy sukces paraolimpijczyków. Ci są dowodem, że sukces rodzi się z motywacji trenującego. Absurdalnie obowiązkowy WF dorosłych nie zmienia obyczajów studentów, spędzających czas przy komputerze lub piwie. Inni próbują sił we wspinaczce, muzyce, szachach lub teatrze, nawet jeśli uczelnia wcale im tego nie ułatwia. Studiwaliby historię ludzi, wojen, gospodarki, architektury lub sztuki. Może odkryliby w dziejach pożyteczną dla siebie naukę, a kiedyś poprowadzili swoje dzieci w nieznane polskie zakątki.

Choć naszych absolwentów zobaczymy częściej na trybunach niż na murawie, nie jeden z przekonaniem wybrałby sport jako dodatkowe uniwersyteckie zajęcie, licząc na trening, a nie sprawdzanie obecności. Zasoby amerykańskich uniwersytetów są znaną dźwignią wynoszącą na olimpijskie wyżyny; taki sukces umacniałby naszą uniwersytecką (i narodową) wspólnotę¹ w stopniu nie mniejszym niż studiowanie historii.

Z nakazywanej gimnastyki nikły pożytek, z obowiązkowej historii byłby nie większy. Dopiero kształcenie według osobistych wyborów potrafi budzić w młodych ludziach świadomość własnych pasji, możliwości, ograniczeń i talentów. A otwieranie studentom skarbnicy wiedzy – poza wybranym zawodem – to zapoznana przez lata kwintesencja misji uniwersytetu. By ją odkryć pośród urzędowych nakazów potrzeba wiedzy i wyobraźni uczonego, który o horyzonty myślowe uczniów troszczy się nie mniej, niż o swój warsztat.

¹ M. Kula, *Zdrowie czy zbiorowe wariactwo?*, „UW” nr 3 (58) 2012, s. 50.

ZDARZYŁO SIĘ W TYM MIESIĄCU

- 1821** 25 marca nieznacznie zmieniono statut Królewskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Zmiana ta rozpoczęła politykę coraz większej ingerencji w autonomię uczelni. Rok później modyfikacji uległo godło uczelni – pomniejszono tradycyjnego orła, otoczonego pięcioma gwiazdami i umieszczono go na piersiach dwugłowego orła carskiego.
- 1864** 26 marca carska policja aresztowała Benedykta Dybowskiego, przyrodnika, profesora Szkoły Głównej. Dybowski był zaangażowany w ruch konspiracyjny. Udostępniał gabinet zoologiczny na spotkania członków powstańczego Rządu Narodowego. Aresztowanego naukowca rosyjski sąd skazał na karę śmierci, ale na skutek licznych protestów z zagranicy karę zmniejszono do 12 lat zesłania. Przebywając przymusowo na Syberii, Dybowski badał tamtejszą faunę i florę, stał się światowej sławy badaczem tego regionu.
- 1916** 5 marca odbyło się pierwsze Walne Zebranie – zalegalizowanego przez Niemców – studenckiego stowarzyszenia samopomocowego „Bratnia Pomoc”. Wybrano zarząd i prezesa. Od tego momentu „Bratnia Pomoc” stała się największą akademicką organizacją działającą na UW do 1939 roku.
- 1921** 4 marca do Warszawy powrócił 36 pp Legii Akademickiej. Był to pułk, złożony z warszawskich studentów, walczący o granice odrodzonego Państwa Polskiego. Pułk ten formował się na terenie Uniwersytetu Warszawskiego w listopadzie 1918 r. Potem walczył pod Lwowem i na przedpolu stolicy w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Ostatnie miesiące przed powrotem studenci-żołnierze spędzili, patrolując granicę wschodnią w okolicach Dubna. O wydarzeniach tych przypomina działo za Pałacem Kazimierzowskim i tablica pamiątkowa na gmachu Wydziału Prawa i Administracji.
- 1933** Od 2 do 13 marca studenci UW strajkowali przeciwko ustawie szkolnej ministra Janusza Jędrzejewicza, ograniczającej autonomię uczelni. Protestowało także wielu profesorów, a 6 marca Józef Ujejski, rektor UW demonstracyjnie podał się do dymisji. Dymisja rektora nie została przyjęta przez Senat uczelni. Środowisko akademickie jeszcze wielokrotnie dawało wyraz swej niechęci w stosunku do ustawy jędrzejewiczowskiej, która po poprawkach ostatecznie została uchwalona przez Sejm RP latem 1937 r.
- 1968** 8 marca na dziedzińcu głównym Uniwersytetu odbył się wiec studentów wzywających do obrony podstawowych swobód obywatelskich. Dało to początek demonstracjom studentów w całej Polsce, które przeszły do historii jako „wydarzenia marcowe”.

DOBRZE POLICZONE

W Auditorium Maximum ostatnio działo się wiele. W lutym kilka osób wyjęło z zawiasów drzwi w auli im. Adama Mickiewicza, nie pamiętając, że niespełna kilka miesięcy temu zawiasy i okucia wymieniono, drzwi odrestaurowano i wstawiono na nowo. Budynek przeszedł przez ostatnie lata sporo zmian, przemiana właśnie się zakończyła.

7 lat temu rozpoczął się remont. Nie oznacza to jednak, że prace prowadzono przez tyle czasu. Odbywały się one głównie podczas wakacji. Wtedy w budynku zamiast studentów i pracowników pojawiały się ekipy inżynierów, montażyстів, malarzy czy elektryków. Zaczęto od elewacji. Uzupełniano tynki, gipsowano i malowano. Ogrodnicy zasadzili sporo kwiatów i posiali trawę. Żeby budynek ładnie prezentował się nocą, zamontowano nowoczesne oświetlenie.

2 razy odnawiano w tym czasie aulę im. Adama Mickiewicza. Najpierw cztery lata temu ją pomalowano, wymieniono oświetlenie, zainstalowano wentylatory, nowoczesny system nagłośnienia oraz sprzęt audiowizualny. Większe zmiany zaszły jednak w zeszłe wakacje. Renowację przeszły stylowe ławy, zerwano zniszczoną podłogę i położono na nowo dębową klepkę. Zamiast wentylacji pojawiła się też klimatyzacja. Nie wiadomo jeszcze jak działa, bo premierę będzie miała, kiedy zrobi się cieplej.

6 sal wykładowych oprócz auli mieści się w budynku. Nazywane są pierwszymi literami alfabetu, ale dla niepoznaki sala „A” znajduje się na końcu, najbardziej po prawej stronie. Łączna powierzchnia sal to 607 m²; według szacunków zmieści się w nich na raz 770 osób. Również one przeszły remont generalny. Odnowiono też toalety oraz pomieszczenia na pierwszym piętrze.

326 418,17 złotych kosztowało zaprojektowanie i wybudowanie windy. Prace rozpoczęto 21 sierpnia zeszłego roku, a zakończono 25 grudnia. Winda, a dokładnie osobowy dźwig hydrauliczny z napędem bezpośrednim, oddana została do użytku jako prezent noworoczny i sunie już między dwoma poziomami. Nie dociera tylko do balkonów, bo w miejscu gdzie byłoby jej wejście, znajduje się pomieszczenie audiowizualne. Szyb nie doczekał się wielkiego otwarcia. Trudno nawet określić premierowy przejazd. Szampany muszą poczekać na inną okazję, chociaż powód był dobry – to już ostatni punkt na liście zmian.

630 kilogramów, w górę i w dół, może jednorazowo transportować dźwig. Maksymalnie zmieści się w nim osiem osób, średnio na jednego podróżującego (razem z bagażem) przypada 79 kilogramów. Przed wejściem wagi nie ma, trzeba więc swoje szanse oszacować na oko. Kabina ma 1,5 m² powierzchni, a wysokość podnoszenia 3 metry. Szyb budowany jest ze stali. Trzy ściany wykonano z warstwowo klejonego szkła, a czwartą z cegły.

DZIEŁA Z KOLEKCJI EDWARDA RACZYŃSKIEGO W WARSZAWIE

AGNIESZKA
BAGIŃSKA

W pierwszej połowie marca 2013 roku w Pałacu Branickich w Warszawie została otwarta prezentacja obrazów pochodzących z Galerii Rogalińskiej Edwarda Aleksandra Raczyńskiego. Zaprezentowano na niej obrazy polskich i zagranicznych artystów przełomu XIX i XX wieku. Sztukę zachodnioeuropejską reprezentują prace m.in. Jeana Gabriela Domerque'a, Luciena Simona, Ignacio Zuloaga y Zabalety. W tzw. *Salii Nominacji* znajdują się pejzaże polskich malarzy: Michała Wywiórskiego, Józefa Rapackiego, Włodzimierza Tetmajera, Stanisława Kamockiego i Wojciecha Weissa. Ekspozowane dotąd w „antyszambrze” przykłady nowożytnego malarstwa europejskiego zastąpiły obrazy Olgi Boznańskiej, Vlastimila Hofmana i Henryka Uziębły. Najobszerniej reprezentowana będzie twórczość Jacka Malczewskiego. Obok zainspirowanego pobytem w Rogalinie obrazu *W tumanie* (1893-94) znajdują się m.in. *Portret Adama Asnyka z muzą* (1895-97) oraz wizerunek samego fundatora słynnej kolekcji.

Portret Edwarda Raczyńskiego namalowany przez Jacka Malczewskiego w 1903 roku przedstawia mężczyznę, który siedzi przy stole w wiklinowym fotelu. Przed nim leży książka z reprodukcjami obrazów. Raczyński wydaje się zamyślony, patrzy w dal. Znajduje się w otwartej przestrzeni, o czym świadczy koc przykrywający jego ramię i widoczne gdzieś w tle złote liście. Otoczeniem Raczyńskiego nie jest jednak jesienny pejzaż, lecz kłębowski nagich postaci wywodzących się z greckiej mitologii: nimf i faunów. Figury są ze sobą ciasno splecione w dynamicznym układzie przywodzącym na myśl bachiczny taniec. W zestawieniu z nimi wyraz twarzy Raczyńskiego wydaje się jeszcze bardziej surowy. Mężczyzna rozmyśla, a w jego wyobraźni rodzą się fantastyczne stwory. Może ilustracja w książce była impulsem powstania tej rozbuchanej wizji? Wydaje się, iż ekstatyczny taniec wyobrażony przez Raczyńskiego jest częścią jakiejś brutalnej rzeczywistości, budzącej w nim zastanowienie i lęk. Groźny świat fantazji został tu przedstawiony jako źródło sztuki, a Raczyński jako jej wrażliwy i obdarzony szczególnie świadomością znawca.

Edward Aleksander Raczyński (1847-1926) w młodości pełen brawury żołnierz, podróżnik, bywalec salonów i niespełniony przedsiębiorca,

stworzył w latach 1878-1926 znakomitą kolekcję współczesnej mu sztuki polskiej i zachodnioeuropejskiej, obejmującą głównie malarstwo, ale także rysunek, grafikę i rzeźbę. Jego zbiory prezentowane były od 1912 roku w specjalnie do tego celu wybudowanej galerii przy pałacu w Rogalinie, należącym do Raczyńskich od połowy XVIII wieku. Działalność Edwarda Aleksandra wynikała po części z rodzinnej tradycji. Jego dziad Edward był fundatorem Biblioteki Raczyńskich i współtwórcą Złotej Kaplicy w Poznaniu, a brat Edwarda Atanazy – kolekcjonerem dzieł dawnych mistrzów i romantyków niemieckich.

Na zbiory Raczyńskiego warto spojrzeć w kontekście działalności dwóch innych współczesnych mu polskich kolekcjonerów sztuki. Jednym z nich był Ignacy Korwin Milewski, pochodzący z Litwy ziemianin, student malarstwa na Akademii Monachijskiej. W jego zbiorach znalazły się obrazy polskich artystów przełomu XIX i XX wieku, tworzących w nurcie realizmu. Zainteresowaniem darzył przede wszystkim prace malarzy ze środowiska monachijskiego. Druga z kolekcji, należąca do Feliksa Mangghy Jasieńskiego, była bardziej zróżnicowana. Obejmowała zarówno obiekty sztuki „czystej”, jak i rzemiosła artystyczne, ze szczególnym uwzględnieniem prac pochodzących z Japonii. Sam Jasieński był wielkim propagatorem kolekcji i za jej pomocą próbował „projektować” nowe tendencje w polskim malarstwie. Na tle obu zbiorów kolekcja Raczyńskiego wyróżniała się, z jednej strony większą wszechstronnością, z drugiej zachowawczością. Jego celem była obiektywna prezentacja różnorodności zjawisk współczesnej sztuki. Natomiast dobór dzieł był w dużej mierze zgodny z ogólnymi upodobaniami estetycznymi epoki.

Zasadnicza część obiektów z kolekcji została kupiona w latach 1892-1914. Edward Raczyński zdobywał je głównie w Krakowie jako prezes Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. Obrazy kupował również w warszawskim Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych, Salonach Ungra i Krywulta oraz bezpośrednio od artystów. W początkowym okresie powstawania kolekcji zainteresowania Raczyńskiego koncentrowały się wokół malarstwa o tematyce „rodzimej”, scen rodzajowych i nastrojowych pejzaży, często o patriotycznej wymowie. Były to m.in. prace

Agnieszka Bagińska jest
doktorantką w Instytucie
Historii Sztuki.



J. Malczewski,
*Portret Edwarda
Raczyńskiego*,
1903, Muzeum
Narodowe w Poznaniu.

Józefa Brandta, Maksymiliana Gierymskiego, Józefa Chełmońskiego. W latach dziewięćdziesiątych dołączyły do nich obrazy utrzymane wciąż w konwencji realistycznej (głównie pejzaże) oraz zmierzające ku rozwiązaniom bliskim impresjonizmowi np. *Mokra Wieś* Władysława Podkowińskiego (1892), czy niektóre prace Aleksandra Gierymskiego. Ważne miejsce w kolekcji zajmowały dzieła Jacka Malczewskiego (35 obiektów). Wśród zakupów znalazły się obrazy programowe artysty, tj. *Melancholia* (1890-94) czy *Błędne koło* (1895-97). Wydaje się, iż nie tylko ich wartość estetyczna, ale również sensy patriotyczne zdecydowały o zainteresowaniu kolekcjonera twórczością symbolisty. Nurt malarstwa symbolicznego reprezentowany był w zbiorze także pracami Piotra Stachewicza, Vlastimila Hofmana, Witolda Wojtkiewicza, Wojciecha Weissa i in. Raczyński był otwarty również na inne zjawiska artystyczne, wynikające z indywidualnych dążeń twórców. Przykładami są nokturny Aleksandra Gierymskiego i Józefa Pankiewicza oraz pastelowe portrety Stanisława Wyspiańskiego. Odrębne miejsce w kolekcji polskiego malarstwa należy przypisać *Joannie d'Arc* (1886) Jana Matejki, której zakup w roku 1897 wywołał niemałe kontrowersje związane z prawowitą własnością obrazu. To wymiary tego właśnie płótna zdecydowały o wielkości Galerii w Rogalinie.

Od lat 90. XIX wieku do 1914 roku powstawała również kolekcja malarstwa europejskiego. Zakupów dokonywał Raczyński w Monachium i w Paryżu podczas międzynarodowych wystaw sztuki. Głównymi obszarami jego zainteresowań były francuski symbolizm i postimpresjonizm, reprezentowany w zbiorach obrazami m.in. Eugène'a Carrière'a i Henriego Martina oraz niemiecki impresjonizm i „secesja”. Tu przykładami są prace Franza von Stucka i Ludwiga Dilla. Raczyńskiemu zarzucano „nierówny” poziom kolekcji malarstwa europejskiego, kupowanie zarówno obrazów o wysokiej wartości artystycznej, jak i prac twórców przeciętnych,

ale budzących zainteresowanie ówczesnej publiczności. Wydaje się, że kształt kolekcji determinowały nie tylko indywidualne zainteresowania Raczyńskiego, ale także podążanie za modą, która stała się miarą obiektywnej jakości dzieł. Postępowanie to było później wytykane kolekcjonerowi jako zaprzepaszczenie szansy na stworzenie znakomitego zbioru francuskiego malarstwa awangardowego. Duża część obiektów zagranicznych to obrazy po akademicku zachowane, nagradzane medalami na wystawach, ale nie kształtujące nowych tendencji w sztuce europejskiej.

Duże znaczenie kolekcji Raczyńskiego wynikało również z jej publicznej dostępności. Nie znany jest dziś jej zakres, ale wiadomo, że po powstaniu w Rogalinie specjalnego budynku do prezentacji dzieł, fundator oprowadzał po nim gości. Już po jego śmierci wydano pierwszy *Przewodnik Galerii Obrazów hr. Raczyńskiego w Rogalinie* (1926). Następnym właścicielem kolekcji był syn Edwarda, Roger Raczyński. W 1939 roku zbiory zostały złożone w depozyt w Muzeum Narodowym w Warszawie. W roku 1944 wywieziono je do Niemiec. Odnalezione obiekty trafiły po wojnie na Wawel, a stamtąd ich część została przekazana Muzeum Wielkopolskiemu w Poznaniu. W kolejnym dziesięcioleciu toczył się spór dotyczący najwłaściwszego miejsca przechowywania kolekcji. Brały w nim udział Muzeum Wielkopolskie i Muzeum Narodowe w Warszawie, któremu w okresie powojennym przekazano ponad 100 obiektów. Od 1956 roku do lat dziewięćdziesiątych obrazy w kilku partiach zostały przesłane do Poznania. W wydany przez poznańskie Muzeum Narodowe w 1997 katalogu Galerii Rogalińskiej Edwarda Raczyńskiego wymieniono ponad 500 pozycji, z czego około 300 to obiekty istniejące i zlokalizowane.

Raczyńskiemu zarzucano „nierówny” poziom kolekcji malarstwa europejskiego, kupowanie zarówno obrazów o wysokiej wartości artystycznej, jak i prac twórców przeciętnych, ale budzących zainteresowanie ówczesnej publiczności

„KRONIKA
PAŁACU
KAZIMIEROWSKIEGO
Z 34 OSTATNICH LAT
1812-1846”

Feliksa Pawła
Jarockiego

część 5

SALWA ARMATNIA, UPORZĄDKOWANIE DZIEDZIŃCA UNIWERSYTECKIEGO I GABINET ZOOLOGICZNY

„W roku 1822 ponieważ dotąd nie zwrócono uwagi na uporządkowanie samego dziedzińca, którego wszystkie place były nierówne i niebrukowane a środek przedzielony był głębokim wąwozem więc w czasie pogrzebu Feldmarszałka Adama Czartoryskiego wjechałszy na środek tego dziedzińca jakby na pustkowiu, dział dwanaście i dawszy salwę nieboszczykowi, tak w Korpusie jak w przyległych dwóch pawilonach wszystkie niemal okna szyb pozbawiły zaraz na trzeci dzień po owem zdarzeniu kazał Minister przywołać grabarzy ogrodnika i cieślów, i zarządził splantowanie środka dziedzińca, zasadzenie na nim klombów i ogrodzić niską karjerą. Po ukończeniu tego zaniedbany dotąd ogród za pałacem, a mianowicie jego pustą i wybojami zszpeconą górę, kazał sypanemi pod formą drogami i zasadzeniem klombów przyozdobić. W miej-

scu starego ku upadkowi pochylonego parkanu przy ulicy Browarnej postawiono ozdobne sztachety. Podobne sztachety dano w dziedzińcu między gmachami na wschodniej linii będącemi, i zamknięto ogród dla obcych wysadziwszy brzeg tarasu ozdobnemi kwiatami do których pielęgnowania odkomenderowano ogrodniczka z ogrodu Botanicznego. Te roboty trwały przez całe lato i kosztowały czternaście tysięcy Złp: ale ogród za pałacem stał się prawdziwym pieścidle i w takim stanie utrzymywany był, aż po koniec 1830 roku.

W 1823 roku przeniesiono z Korpusu gabinet Zoologiczny do sali nad Salą gipsów położonej w gmachu Sztuk Pięknych, a trzy salki pierwszego piętra zajmowane dotąd przez zbiór Ptaków oddano na pomieszczenie wielkiego zbioru rycin, którym Proff: Piwarski zawiadywał”.

JERZY MIZIOŁEK
HUBERT KOWALSKI

Rzut oka na litografię Ludwika Horwarta z 1820 roku w kontekście tekstu *Kroniki* uświadamia nam, że rycina ta jest przynajmniej w części idealizowana, albowiem ukazuje teren niemal zupełnie uporządkowany. Nie ulega bowiem wątpliwości, że campus uniwersytecki był aż po lata 1822/1823 prawdziwym terenem budowy ze wszystkimi tego konsekwencjami. Do tekstu Jarockiego, który jest niezwykle precyzyjny w swoim zestawianiu faktów, wkraść się wszakże mały błąd. Książę Adam Kazimierz Czartoryski (urodzony w 1734 r.) zmarł bowiem nie w 1822, a w 1823 roku. Jest na swój sposób ciekawe, że autor *Kroniki* nazywa go feldmarszałkiem, a nie komendantem Szkoły Rycerskiej, zwanej też Szkołą Kadetów. Była ona w murach Pałacu Kazimierzowskiego poprzedniczką Uniwersytetu i funkcjonowała w latach 1765-1793. Do jakiego stopnia pamięć o tej instytucji pozostała żywa, najlepiej świadczy fakt, że jeszcze w latach sześćdziesiątych XIX wieku campus uniwersytecki nazywany był koszarami kadeckimi. O naszych „uczonych koszarach kadeckich” pisze Fryderyk Chopin w jednym ze swoich listów.

A więc dzięki *Kronice* wiemy, że Czartoryski (przypomnijmy, że to na jego prośbę Ignacy Krasicki napisał piękny kadecki *Hymn do miłości ojczyzny*) przed pochowaniem go w kościele św. Krzyża został uczczony – w ten

szczególny i nieco kłopotliwy dla mieszkańców kampusu sposób – w miejscu dawnej Szkoły Rycerskiej, której poświęcił wiele uwagi i na stanowisku jej komendanta sprawdził się doskonale. W związku z tym, że Szkoła Rycerska i jej komendant oraz jeden z jej absolwentów – Tadeusz Kościuszko – uhonorowanymi są w Pałacu Kazimierzowskim trzema tablicami, warto tu wspomnieć o jeszcze jednym upamiętnieniu komendanta, o którym Jarocki nie mógł lub nie chciał wspomnieć.

W 1824 roku w holu Pałacu Kazimierzowskiego wychowankowie Szkoły (znalazł się wśród nich Julian Ursyn Niemcewicz) ufundowali pomnik ku czci księcia. Był to odlany w brązie przez Jana Norblina (syna malarza Jana Piotra) biust komendanta, ustawiony na wysokim cokole z czarnego marmuru, na którym położono następujący napis: ADAMO PRINCIPI CZARTORYSKI SCHOLAE MILITARIS EO DUCE HISCE IN AEDIBUS AB ANNO MDCCCLXV AD ANNUM MDCCXCIV FLORENTISSIMAE ALUMNI SUPERSTITES MDCCCXXIV [Adamowi, księciu Czartoryskiemu, (naszemu) wodzowi, żyjący wychowankowie tej wspaniałej szkoły wojskowej (roczniki 1764–1794) A.D. 1824]. Po upadku powstania listopadowego pomnik został zniszczony, a brązowy biust Czartoryskiego wywie-

ziono w 1833 roku, razem z innymi skarbami Uniwersytetu, do Petersburga; trafił najpierw do tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych, a z czasem, na osobisty rozkaz cara Mikołaja I, został przetopiony na monety. Pewne wyobrażenie o tym zupełnie niemal zapomnianym uniwersyteckim monumencie daje dziś rycina przechowywana m.in. w Bibliotece Narodowej w Warszawie.

Pewnym uzupełnieniem lakonicznej *Kroniki* Jarockiego w sprawie uporządkowania dziedzińca uniwersyteckiego i miejsca po dawnym Ogrodzie Botanicznym są zapiski Franciszka M. Sobieszczańskiego, w których czytamy: „Wreszcie w 1823 roku splantowano dziedziniec i wysadzono klombami; zaniebdany ogród za pałacem, mianowicie jego pustą i wybojami zeszpeconą górę, usypanymi drogami i zasadzonymi krzewami przyozdobiono, tak iż miejsce było prawdziwym pieścidełkiem i w tym stanie utrzymywało się do roku 1830”. Nie ulega wątpliwości, że Sobieszczański musiał znać tekst *Kroniki*.

Z kolei dwa listy Fryderyka Chopina do Jana Białobłockiego z 1826 roku nie pozostawiają wątpliwości, że prace nad uporządkowaniem terenu Uniwersytetu trwały jeszcze w kolejnych latach. „Ogród mój Botaniczny – czytamy w pierwszym z nich – ów stary alias za pałacem, bardzo pięknie oporządzić Komisja kazała. Już teraz nie ma ani marchwi, którą niegdyś smacznie przy źródle konsumowało [się] ani kanapek, ani altanek, ani sałaty, kapusty, złych zapachów etc., ale klomby *à la manière anglaise*”. W liście drugim Chopin donosił: „[...] Żebyś wiedział, jakie odmiany w naszym Ogrodzie Botanicznym, to byś się wziął za głowę. Takie klomby porobili, drogi, plantacje, krzewy itd., że aż miło wejść, zwłaszcza, że mamy klucz do niego”.

Z ogromną wstrzemięźliwością pisze Jarocki o Gabinetzie Zoologicznym – jednym z głównych dzieł swego życia. Zorganizował go w 1818, a w 1819 ogłosił *Spis ptaków w gabinecie zoologicznym Królewsko Warszawskiego*

Uniwersytetu. Wiele obiektów z gabinetu zachowało się do dziś. Temat ten czeka na gruntowne opracowanie; póki co dobre wyobrażenie o nim daje rycina z lat sześćdziesiątych XIX wieku.

Na Gabinet Rycin, o którym czytamy w *Kronice*, złożyły się zbiory króla Stanisława Augusta, zakupione przez Uniwersytet w 1818 roku i dar Stanisława K. Potockiego. Uniwersytecki Oddział Sztuk Pięknych był niejako oczkiem w głowie ministra, który widząc pewne luki w zbiorze królewskim, postanowił go uzupełnić. Wśród zgromadzonych rycin znalazły się dzieła takich m.in. mistrzów: Andrea Mantegna, Baccio Baldini, Antonio Pollaiuolo, Marcantonio Raimondi i Agostino Carracci. Większość z nich stanowi do dziś ozdobę Gabinetu Rycin BUW. Słynny polihistor Joachim Lelewel w swym dziele *Bibliograficznych ksiąg dwoje* (1826) zaliczył ten zbiór „do wyborniejszych i znamienitszych w Europie”. Udostępniając profesorom i studentom ten ogromny i dokładnie usystematyzowany przez Jana F. Piwarskiego zbiór rycin i rysunków (duplikaty rycin znajdowały się na stałe w poszczególnych pracowniach), Uniwersytet otworzył przed nimi jak gdyby wiele muzeów i kolekcji pod jednym dachem, a także umożliwił poznanie zabytków odsłanianych wówczas miast Herkulanum, Pompei i Stabiów oraz słynnych budowli antycznych, m.in.: świątyni w Paestum, Tivoli i na Forum Romanum.

Uniwersytecki Gabinet Rycin w Pałacu Kazimierzowskim stał się też depozytariuszem ogromnej liczby rysunkowych studiów i szkiców artystów z dworu króla Stanisława Augusta, m.in.: pochodzącego z Rzymu Marcella Bacciarellego (w 1817 roku został on honorowym dziekanem Uniwersytetu), Franciszka Smuglewicza, Ferdynanda Pincka (m.in. kopia słynnych i wciąż na Uniwersytecie zachowanych *Attitudes* Emmy Hamilton), André Le Bruna i Jana Chrystiana Kamsetzera oraz ogromnej liczby zrealizowanych i niezrealizowanych projektów architektonicznych.

Prof. dr hab. Jerzy Miziołek jest dyrektorem Muzeum UW, a dr Hubert Kowalski jego zastępcą.



Widok Pałacu Kazimierzowskiego?

ROBERT GAWKOWSKI

ELEONORA REICHER

ZAPOMNIANA PROFESOR I JEJ NIEBANALNY ŻYCIORYS

Była jedną z pierwszych kobiet zatrudnionych na naszej uczelni. W książkach o historii naszej Alma Mater nic jednak o niej nie znajdziemy. Uczona-lekarka, pionierka medycyny sportowej, „matka polskiej reumatologii”, której imię nosi Warszawski Instytut Reumatologii, pozostaje trochę zapomniana. Zmarła dokładnie 40 lat temu, więc jest okazja, żeby przypomnieć jej niezwykle życiorys.

Urodziła się 29 września 1884 r. w Warszawie w rodzinie żydowskiej. Ojciec Berek Reicher (używający pod koniec życia imienia Bernard) był dobrze prosperującym przemysłowcem, współwłaścicielem fabryki wstążek i butów. Matka Leja, z domu Wolfowicz, osierociła córkę, gdy ta miała lat kilkanaście. W rodzinnym mieszkaniu przy ul. Chłodnej 80 zagościła żałoba.

Młoda Eleonora uczęszczała do dobrej prywatnej szkoły Marii Matuszewskiej. Wśród uczących się tam dziewcząt większość stanowiły katoliczki i najpewniej Eleonora tam właśnie przesiąkła duchem chrześcijaństwa.

Wychowanie fizyczne stawało się powszechne, podobnie jak zrozumienie, że sport to zdrowie, więc lawinowo zaczęło przybywać młodych ludzi... z kontuzjami

W polskie święto narodowe, dnia 3 maja 1904 r., w katedrze św. Jana przyjęła chrzest, otrzymując imię Barbara. Polubiła to imię i często znajomi tak ją nazywali. W czasie okupacji hitlerowskiej tak też brzmiał jej konspiracyjny pseudonim.

Uczyła się na tyle dobrze, by pojechać na studia do paryskiej Sorbony. Po roku przeniosła się do szwajcarskiego Berna, gdzie w 1912 r. uzyskała doktorat z zakresu nauk przyrodniczych.

Tam też latem 1914 r. ukończyła medycynę, choć nie zdążyła zdać egzaminu końcowego. Wybuch I wojny światowej zastał ją w Warszawie, dokąd przyjechała na przerwę wakacyjną.

Przez prawie dwa lata pracowała w rosyjskim przyfrontowym szpitalu w Mogielnicy. W środku wojny udało jej się wyjechać do neutralnej Szwajcarii, gdzie zdała brakujący egzamin. W Bernie została aż przez trzy lata, pełniąc funkcję asystenta kliniki chorób wewnętrznych. W maju 1920 r. uzyskała doktorat z medycyny.

Będąc „podwójnym” doktorem i ciesząc się powszechnym uznaniem, Reicher mogła przebiegać w szwajcarskich ofertach pracy, ale patriotyzm nie zezwolił jej na bierne przy-

patrywanie się sytuacji w ojczyźnie. Wojna polsko-bolszewicka przybrała niebezpieczny obrót i 35-letnia Polka o żydowskim rodowodzie pospieszyła z pomocą macierzy. Natychmiast po powrocie do kraju została naczelnym lekarzem Ochotniczej Legii Kobiet, co w okresie komunistycznej Polski skrzętnie ukrywała. Po podpisaniu rozejmu rozpoczęła pracę na Uniwersytecie Warszawskim, stając się jedną z pierwszych zatrudnionych tu pań z tytułem doktorskim. Pracowała w II Klinice Chorób Wewnętrznych, szybko zyskała uznanie. Od 1927 r. była adiunktem w nowo utworzonej poradni Wychowania Fizycznego.

W tamtym czasie sport przeżywał prawdziwy boom. Kluby sportowe wyrastały w stolicy jak grzyby po deszczu, na najważniejsze mecze przychodzić zaczęły tłumy, a prezydent Ignacy Mościcki zapraszał do siebie na Zamek Królewski najlepszych sportowców „na kawę”. Wychowanie Fizyczne stawało się powszechne, podobnie jak zrozumienie, że sport to zdrowie, więc lawinowo zaczęło przybywać młodych ludzi... z kontuzjami.

Uniwersytet Warszawski wyszedł tym problemom naprzeciw, tworząc pierwszą w Warszawie przychodnię sportowo-lekarską. Nasza bohaterka odgrywała w niej główną rolę, stając się pionierką medycyny sportowej. W 1933 r. uzyskała habilitację na podstawie rozprawy: *O działaniu ćwiczeń cielesnych na ustrój ludzi zdrowych i chorych*.

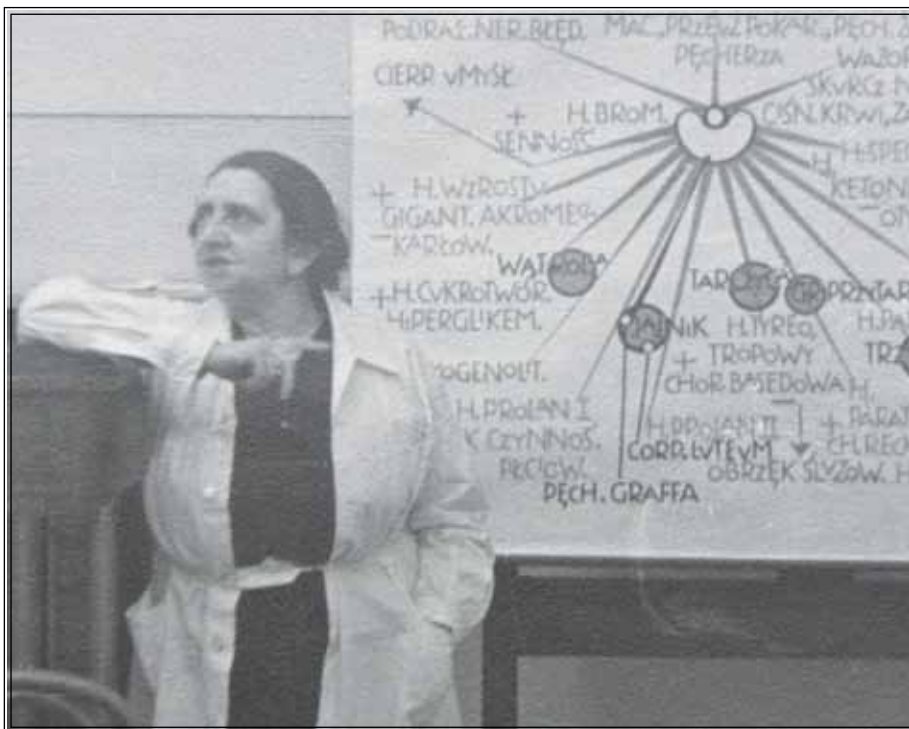
Reicher zasiadała w Radzie Wychowania Fizycznego, która opiniowała działalność władz sportowych ówczesnej Polski. Została też konsultantem przy budowie bielańskiego Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego, czyli dzisiejszej AWF. Dziś już nie pamięta się, jaką rolę spełniał Uniwersytet Warszawski w założeniu tej pierwszej sportowej uczelni. A przecież był nawet taki czas, że zastanawiano się, czy CIWF nie powinien być częścią składową UW.

Reicher, interesując się medycyną sportową, po raz pierwszy zetknęła się z problemem

W 1944 r. po Powstaniu Warszawskim w Goreckiej vel Kozłowskiej, Niemcy nie rozpoznali żydowskiej lekarki i Reicher została wypędzona wraz z innymi na Okęcie. Tam nasza bohaterka, dzięki przypadkowo zebranemu personelowi medycznemu, organizowała na plebanii szpital polowy. Część chorych, tak jak lecząca ich Reicher, ukrywała się pod fałszywymi nazwiskami. Chwile grozy wszyscy przeżyli gdzieś pod koniec października, gdy pod szpital przyjechały samochody gestapo. Wydawało się, że będzie on dokładnie sprawdzony, a ukrywający się tu natychmiast aresztowani i rozstrzelani. Okazało się jednak.

Chwile wolne najchętniej spędzała w Laskach, położonych na obrzeżach puszczy. Tam oddawała się literaturze i sztuce, tam zaczęła malować. Tam też w marcu 1973 r. została pochowana, na cmentarzu obok swych ociemniałych podopiecznych.

Dr Robert Gawkowski jest historykiem, pracownikiem Muzeum UW i stałym współpracownikiem naszej redakcji. Na stronie 42. publikujemy kolejny odcinek pocztu rektorów, którego autorem jest dr Gawkowski.



HENRYK SAMSONOWICZ
PONAD 60 LAT Z UNIWERSYTETEM

Profesor nie
sprawdzał listy
obecności, jak to
się często dzieje.
Po co?! Studentów
i tak zawsze miał
nadkomplet

Bywali tacy rektorzy UW, którzy wcześniej nie byli w żaden sposób związani z naszą uczelnią, a rektorskie stanowisko obejmowali niemal zaraz po rozpoczęciu tu pracy. A potem panowali i panowali. Przykład Henryka Samsonowicza jest zupełnie inny. Związany z uczelnią był rodzinnie – tu od 1915 r. pracował jego ojciec, geolog prof. Jan Samsonowicz. Henryk tu studiował, a rektorem został po 30 latach pracy na Wydziale Historycznym. Jak na ironię, funkcję swą sprawował ledwie półtora roku. O fakcie tym zadecydowała niechęć komunistycznych władz do niezależnie myślącego uczonego.

Henryk Samsonowicz urodził się w Warszawie w styczniu 1930 r. W czasie wojny dorastał w konspiracyjnej atmosferze. Jako trzynastolatek działał w konspiracyjnym harcerstwie. Jego starszy brat Andrzej był odważnym porucznikiem AK (ps. „Książę”), który wslawił się kilkoma brawurowymi akcjami. Andrzej zginął w Powstaniu Warszawskim, ale dla nastoletniego Henryka na zawsze pozostał wzorem.

Po wojnie Henryk skończył w przyspieszonym tempie liceum J. Słowackiego i rozpoczął studia historyczne. Historia zawładnęła jego duszą na dobre i zaraz po skończonych studiach w 1950 r. rozpoczął tu pracę. Miał szczęście zetknąć się z najlepszymi historykami: Aleksandrem Gieysztozem, Stanisławem Herbstem, Tadeuszem Manteufflem i Witoldem Kulą. Jego mentorem został prof. Marian Małowist, pod którego kierunkiem napisał doktorat w 1954 r. Sześć lat później za pracę *Badania nad kapitałem mieszczańskim Gdańsk w drugiej połowie XV wieku* zdobył habilitację i uznanie. W 1969 r. otrzymał tytuł naukowy profesora nauk humanistycznych. W 1967 r. został prodziekanem Wydziału Historycznego. Trzy lata później dziekanem, a w 1975 r. dyrektorem Instytutu Historycznego. Od 1964 r. prowadził (nieprzerwanie przez 50 lat!) seminarium magisterskie, ciesząc się niebywałą popularnością. Studenci cenili go

za niezwykle ciekawe i nieszablonowe wykłady, nierzadko okraszone humorem. W 1975 r. zorganizował pierwszą olimpiadę historyczną. Niestety do życia naukowego wkraczała polityka. W 1968 r. Henryk Samsonowicz był członkiem Wyższej Komisji Dyscyplinarnej przy ministrze oświaty i jako jedyny odważnie zagłosował przeciw zwolnieniu z pracy gdańskiego profesora Damazego Tilgnera. W latach 70. Samsonowicz coraz wyraźniej dystansował się od takiej polityki. W 1980 r. poparł tworzenie „Solidarności” i dla wielu wybranie go na rektora UW we wrześniu 1980 r. było nie lada zaskoczeniem. Komunistyczna władza musiała się jednak z tym wyborem pogodzić, bo Henryk Samsonowicz był zbyt znany i ceniony. Jego kolejne książki: *Późne średniowiecze miast nadbałtyckich*, *Życie miasta średniowiecznego* czy *Złota jesień polskiego średniowiecza* weszły do kanonu literatury historycznej. Od 1980 r. Samsonowicz prowadził też największą organizację historyków – Polskiemu Towarzystwu Historycznemu, z którym jest związany do dziś.

Po wprowadzeniu stanu wojennego w 1981 r. rektor oddał legitymację partyjną. Niemal natychmiast profesorem zainteresowały się służby specjalne, od stycznia 1982 r. niesławny III Wydział MO inwigilował naukowca, nadając tej akcji kryptonim „Goliat”. Rektor szybko zorientował się, kto go obserwuje i ze swoistym poczuciem humoru mówił pracownikowi SB „dzień dobry”. Ten zaś, mając lekki wyrzut sumienia, tłumaczył Samsonowiczowi: „Panie rektorze, ja na pana Władzy Ludowej nie donoszę, ja ją tylko informuję”. Rektor Henryk Samsonowicz musiał ustąpić w kwietniu 1982 r.

Ciekawostką jest to, że SB przestała interesować się profesorem dopiero 23 września 1989 r. A był to już czas przełomu i Henryk Samsonowicz był wtedy ministrem Edukacji Narodowej w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Pół roku wcześniej uczestniczył w obradach plenarnych Okrągłego Stołu.

W latach 90. Samsonowicz dalej pracował na uczelni. Tak jak dawniej jego wykłady cieszyły się szalonym powodzeniem. Profesor nie spraw-

Dr Robert Gawkowski
jest historykiem, pracuje
w Muzeum UW



Inauguracja roku akademickiego, 1981 rok, Muzeum UW.

dział listy obecności, jak to się często dzieje. Po co?! Studentów i tak zawsze miał nadkomplet.

W 1996 r. Samsonowicz został członkiem PAN. Rozpoczął też współpracę z nowym ośrodkiem akademickim w Pułtusku. Tamże redagował *Dzieje Mazowsza*, których trzy tomy już się ukazały. Opublikował około 800 prac naukowych, głównie z zakresu historii Polski, w tym 20 książek i podręczników akademickich. Bywał też ekspertem teleturnieju Wielka Gra. Jest honorowym obywatelem Sandomierza, Ostrowca Świętokrzyskiego i Pułtuska. Doktorat *honoris causa* nadało mu – jeśli dobrze policzyłem – 10 uczelni. Wszystkie doktoraty profesor ceni niezwykle, ale jak sam podkreśla „jego” uczelnią na zawsze pozostanie tylko Uniwersytet Warszawski, na którym przepracował już ponad 60 lat! Na swojej Alma Mater w październiku 2010 r. był bohaterem uroczystości odnowienia doktoratu. Podczas tej ceremonii prezydent RP Bronisław Komorowski wręczył profesorowi order Orła Białego. W piśmie „UW” tak opisaliśmy bohatera tego wydarzenia: „Henryk Samsonowicz to synonim wybitnego naukowca, symbol patrioty i niezwyklej postawy obywatelskiej, a dla tych którzy go znają osobiście, także niezwyklej skromności. Uczył się od mistrzów, by sam w końcu stać się jednym z nich”.

Sylwetki rektorów uczelni prezentujemy na łamach „UW” od lutego 2006 r.

W serii *Monumenta Universitatis Varsoviensis* ukaże się też książkowa wersja *Pocztu rektorów UW*.

NA ZAMÓWIENIE

Pismo uczelni „UW” ukazuje się z różną częstotliwością, bywało, że raz na miesiąc, a czasami raz na dwa; w wakacje tak jak pracownicy i studenci odpoczywa. Nie dzieje się to jednak bez przyczyny. Między jednym a drugim numerem „tradycyjnym” w planach redakcyjnych często pojawiają się nowe propozycje. Tym razem opracowaliśmy publikację dla nieco młodszych czytelników.

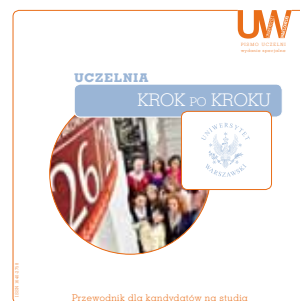
Chociaż jest dopiero marzec, to przygotowania do naboru studentów na rok akademicki 2013/2014 już trwają. Na początku miesiąca odbyły się targi edukacyjne „Perspektywy”, na które trzeba było przygotować numer specjalny pisma uczelni dla kandydatów na studia.

Publikacja „Uczelnia krok po kroku” ma 32 strony i cztery działy.

O czym piszemy?

- m.in. o tym, że UW ma do zaproponowania ponad 120 kierunków i specjalności, w tym nową kognitywistykę,
- że na uczelni oprócz studiowania można tańczyć, śpiewać, grać, uczyć się 41 języków w tym nowości – chińskiego, fińskiego i indonezyjskiego lub uczestniczyć w jednym z 500 kół naukowych,
- że jednostki Uniwersytetu znajdują się w 117 budynkach, nie tylko na terenie Warszawy.

Na razie do rozdania jest tysiąc egzemplarzy. Więcej wydrukujemy na Dzień Otwarty UW, który odbędzie się 20 kwietnia (więcej informacji na stronie nr 5). Robimy to na raty, nie dlatego, że maszyny się męczą, ale dlatego, że do tej pory na pewno coś trzeba będzie zaktualizować. Rzeczywistość zmienia się dynamicznie.



Przed wakacjami planujemy wydrukować jeszcze dwa numery; najbliższe wydanie pisma uczelni „UW” już w maju.

Czego oczekujemy od autorów zewnętrznych?

- artykułów o odkryciach i ciekawych badaniach,
- wiadomości o sukcesach naszych pracowników i studentów,
- opinii o szkolnictwie wyższym i samym Uniwersytecie.

Istnieje też możliwość wykupienia reklamy o dowolnej objętości – na ćwierć strony, w pionie lub poziomie, na połówkę, całą kolumnę lub okładkę – do wyboru, do koloru.

ZAINTERESOWANYCH TEKSTAMI LUB REKLAMAMI
PROSIMY O KONTAKT MAILOWY:



pismo-uczelni@uw.edu.pl



ODESZLI

6.01.2013	ANNA BORNUS	studentka Wydziału Polonistyki
13.01.2013	PROF. DR HAB. MICHAŁ KULEZA	pracownik Wydziału Prawa i Administracji, były prodziekan, społeczny doradca Prezydenta RP
27.01.2013	PROF. DR HAB. STANISŁAW FRYBES	emerytowany pracownik Wydziału Polonistyki, współtwórca Centrum Języka Polskiego i Kultury Polskiej dla Cudzoziemców „Polonicum”
1.02.2013	DOC. DR KRYSZYNA RUTA-RUTKOWSKA	pracownik Wydziału Polonistyki, znawczyni nowoczesnego dramatu i teatru
10.02.2013	PROF. DR HAB. KRZYSZTOF MICHAŁSKI	pracownik Instytutu Stosowanych Nauk Społecznych, wybitny filozof i myśliciel, uczeń prof. Leszka Kołakowskiego
16.02.2013	IZABELA BOLANOWSKA	studentka Instytutu Dziennikarstwa, aktorka Teatru Hybrydy, zmarła tragicznie
21.02.2013	PROF. DR HAB. STANISŁAW SZADYKO	pracownik Wydziału Lingwistyki Stosowanej, badacz języka białoruskiego i rosyjskiego
7.03.2013	DR WALDEMAR KAMIŃSKI	emerytowany pracownik Wydziału Pedagogicznego, propagator wiedzy o wychowaniu

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Mitologia współczesna.

Relacje o poczynaniach i przygodach krajowców zamieszkałych w globalnej wiosce

Autor bada wpływ mitu na różne sfery życia współczesnego człowieka, ukazując jego znaczenie w codziennych praktykach, centralnie sterowanej kulturze masowej, ale też elitarnej „sztuce wysokiej” lub naukowych dociekaniach historyków. W książce analizowane są zarówno „legendy miejskie” (opowieść o „kebabowym podziemiu” pod Dworcem Centralnym czy „łowcach nerek” w warszawskiej IKEI), jak i wierzenia oraz praktyki, w których zazwyczaj nie rozpoznajemy mitów (zbieranie odpadów na cele charytatywne, festiwale muzyki współczesnej czy dociekania śledczych z IPN). Do analizy tych zjawisk wykorzystywane są klasyczne teorie antropologiczne, w szczególności zaś strukturalizm.

Książka pokazuje, jak mity – ukrywając się pod różnymi postaciami – wyjaśniają obce i niezrozumiałe elementy naszego świata. Czasem poprawiają nasze samopoczucie, maskując niesprawiedliwości społeczne, czasem zaś – przeciwnie – wyrażają głęboko ukryte tęsknoty za lepszym życiem.



IZABELA SZCZYGIELSKA

Migracje zarobkowe kobiet oraz ich wpływ na funkcjonowanie rodzin

Jest to interdyscyplinarne studium przyczyn i skutków migracji zarobkowych kobiet. Poza uwarunkowaniami ekonomicznymi i otoczeniem prawnym migrantek, studium dotyka zagadnień przemiany rodziny pod wpływem nieobecności matki i jej pracy za granicą. Zatrudnienie na peryferiach rynku pracy stanowi źródło zagrożeń dla migrujących kobiet, a jednocześnie zapewnia bezpieczeństwo ekonomiczne wielu rodzin w Polsce. Praca ukazuje różne odcienie doświadczenia migracji i jego skutków dla rodzin pozostałych w kraju.

Publikacja została nagrodzona w konkursie na najlepszą rozprawę w dziedzinie problemów pracy i polityki społecznej pod patronatem Ministra Pracy i Polityki Społecznej, organizowanego przez Instytut Pracy i Spraw Socjalnych.



Redakcja MAŁGORZATA GŁOWACKA-GRAJPER, ROBERT WYSZYŃSKI

20 lat rzeczywistości poradzieckiej. Spojrzenie socjologiczne

Książka jest interesującym i bogatym empirycznie oraz teoretycznie opracowaniem dotyczącym zmian społecznych zachodzących w społeczeństwach poradzieckich, a zwłaszcza w społeczeństwie rosyjskim i narodach syberyjskich. Zawarte w niej artykuły podejmują ważne kwestie poszukiwania swojej tożsamości i miejsca w ogromnej „przestrzeni” powstałej po rozpadzie ZSRR. Autorzy próbują odpowiedzieć na pytania dotyczące m.in. postaw wobec zróżnicowań etnicznych i kulturowych tych społeczeństw, poszukiwań i budowy ich odrębności kulturowo-etnicznej za pomocą zarówno „tradycyjnych” metod (takich jak pamięć genealogiczna lub odwołań do tradycyjnych kultów religijnych), jak i nowoczesnych środków, związanych z polityką i tworzeniem miejsc pamięci. Analizowane procesy, zwłaszcza próby tworzenia własnych narracji o przeszłości lub jej zawłaszczania – jak piszą autorzy – nie są łatwe i toczą się zazwyczaj w sytuacji napięć i sporów.

Ważną częścią tej książki są opracowania na temat Polaków w krajach byłego ZSRR, analizy prób odnowienia pełnego życia narodowego oraz trudnych (i czasami zaskakujących) wyzwań związanych z trudami przyjazdu do kraju przodków.





■ Odcinek drugiej linii metra w trakcie budowy.
Tunel na stacji „Nowy Świat – Uniwersytet”,
marzec 2013.

■ Fot. Metro Warszawskie

■ WIĘCEJ INFORMACJI NA STR. 4-5